Nr. 14. Poznań, dnia 6-go kwietnia 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 — Telefon Nr. 3097. — OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Nowe zbrojenia niemieckie.

Jak już donosiły gazety szczegółowo, postanowiła Rada związkowa przedłożyć parlamentowi projekt, dotyczący niebywałego powiększenia zbrojeń i zażądać niebywałych na ten cel sum.

Proejkt Rady związkowej, opierający się na zmianie stosunków mocarstwowych na Bałkanach, przewiduje podwyższenie wojska o 116,965 żołnierzy, 4000 oficerów, 15,000 podoficerów i 27,000 koni.

Ogółem zatem siła zbrojna Niemiec wyrażać się ma czasami pokoju w liczbie 828,264 żołnierzy.

Do powiększenia stanu liczebnego armii dochodzi znaczne pomnożenie materyału wojennego. Bardzo duże sumy przeznaczone są na ulepszenie i rozbudowanie fortec, szczególnie na granicy wschodniej, oraz powiększenie floty napowietrznej. Okrągłe 100 milionów mają być wydane na nowe balony i aeroplany, co posłużyć ma Niemcom do osiągnięcia absolutnej przewagi w lotnictwie wojskowem nad wszystkiemi innemi państwami.

Wydatki jednorazowe, potrzebne do przeprowadzenia tych nowych zbrojeń zapreliminowano na 1055 milionów marek, z której to sumy 990 milionów marek mają być zgromadzone na drodze jednorazowego podatku od majątku, wynoszącego pół procent, a pobieranego już od majątków od 10,000 marek począwszy. Uzupełniająco mają być pociągane do tej jednorazowej ofiary dochody, wynoszące ponad 50,000 marek rocznie, i to we wysokości 2 procent, o ile ktoś równocześnie nie płaci takiej samej lub wyższej sumy od majątku.

Podatek ten płacić muszą nie tylko osoby fizyczne, lecz także towarzystwa akcyjne i komandytowe, wskutek czego wiele ludzi podwójnie będzie opodatkowanych.

Koszta stałe wynoszą 180—190 milionów rocznie.

Wydatki te pokryte być mają: 1) przez podwyższenie składki matrykularnej państw związkowych, które zobowiązane być mają sumę 80 milionów marek rocznie zgromadzić z podatków od dochodu, zysku, albo majątku, albo z opodatkowania spadków; 2) przez odłożenie obniżenia stempla od sprzedaży gruntów i podatku od cukru aż do końca roku 1917; 3) przez przeniesienie opodatkowania kontraktów przy zakładaniu towarzystw spółkowych oraz opłat stemplowych od zabezpieczeń z państw związkowych na Rzeszę; 4) przez rozszerzenie prawa spadkowego państwa w tych wypadkach, gdzie niema ani testamentu, ani bliższych krewnych zmarłego.

Widzimy więc, że rząd zabiera się do wyciśnięcia z podatkującej ludności miliardowych sum, z których coprawda lwia część ma spaść na barki osób mniejszych. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że nowe te kolosalne upusty kapitałów, mające popłynąć na nieproduktywne cele wojskowe, pośrednio całej ludności ciężko dadzą się we znaki. Poszkodowani wzmożeniem oszczędności będą się starali zagoić rany zadane ich budżetowi przez zachłanną gospodarkę wojskową, co znów odbić się musi niekorzystnie na całem życiu zarobkowem.

Jako dalszy moment niekorzystny dochodzi wycofanie przeszło 130 tysięcy ludzi z pracy produktywnej i zamknięcie ich w koszrach, jako pensyonaryuszy państwowych. Że przedsięwzięcie to musi wywołać bardzo poważne skutki, tłumaczyć nie potrzeba, jeżeli się zważy, że istotnem bogactwem państwa są ludzie pracujący i tem samem pomnażający produkcyę narodową. Żołnierz tymczasem tylko jako konsument jest czynnikiem w życiu gospodarczem, zapomnieć jednak nie trzeba, iż ogół składać się musi na zaspokojenie jego siły konsumcyjnej..

I gdyby jeszcze zbrojenia te w położeniu międzynarodowem znajdowały jakie takie uzasadnienie!

Pradwą jest, że miejsce zaprzyjaźnionej z Niemcami, a więc z trójprzymierzem, Turcyi, zajmie teraz związek państw słowiańskich, sympatyzujących z Rosyą, a więc z trójporozumieniem, że przeto w razie wybuchu wojny europejskiej, armia austryacka znalazłaby od strony Bałkanów dywersyę, co naturalnie osłabiłoby jej wartość dla niemieckiego sprzymierzeńca. Lecz z drugiej strony

nie zaszły żadne zmiany co do stosunku Rumunii do trójprzymierza, a zapomnieć także nie trzeba, iż wskutek przeobrażeń na bliskim wschodzie wzmocniła się spoistość trójprzymierza wskutek osłabnięcia antagonizmu włosko-austryackiego. Również antagonizm niemiecko-angielski złagodniał w ostatnim czasie znacznie. Nakoniec wyczerpanie państw bałkańskich jest po półrocznej krwawej walce tak pod względem militarnym jak finansowym tak wielkie, iż lata całe upłyną, aż państwa te będą mogły pomyśleć o nowych laurach wojennych.

Zdaje się tedy, iż w rezultacie stosunek sił w Europie nie zmienił się tak dalece na niekorzyść Niemiec, aby olbrzymie zbrojenia uważać trzeba za konieczne. Zdaje się raczej, iż wyzyskuje się nader sposobną konjukturę polityczną, by z narodu niemieckiego wystraszyć bajońskie sumy na cele wojskowe.

Spodziewać się tedy należy, że parlament bardzo sumiennie rozpatrzy się w bezbrzeżnych żądaniach rządowych, a ze szczególniejszą sumiennością rozejrzy się w proponowanych środkach pokrycia tych wygórowanych wydatków.

Od lat całych żyjemy w znaku drożyzny i ustawicznych przesileń gospodarczych, spowodowanych zamieszkami europejskiemi, klęskami klimatycznemi i nieudolną polityką zagraniczną dyplomacyi niemieckiej. Szczególnie ostatnie czasy pod tym względem bardzo ciężko dały się nam we znaki. Byłby czas nareszcie, aby powołane czynniki raczej nad uzdrowieniem tych stosunków się zastanawiać chciały, miasto przez nowe niepokojące Europę i kraj zbrojenia przyczyniać się do dalszego zagmatwania sytuacyi, do dalszego gromadzenia tyle niebezpiecznego dla pokoju europejskiego paliwa, do dalszego ogładzania i tak już ogłodzonych i sparaliżowanych w życiu zarobkowym obywateli.

Natura ludzka jest to morze niespokojne:
Ustawiczną z wichrami zwykło toczyć wojnę,
Skołatane przez burzę, z wierzchu się uciszy,
Wewnątrz szmer, huk, stękanie, kto żegluje słyszy.
Elżbieta Drużbacka.

* * *

Można dużo złego powiedzieć o kobiecie i o człowieku wogóle. A jednak bez człowieka najwspanalsza natura byłaby bezduszną — a bez kobiety życie nasze — jałową pustynią.

* * *

Bohaterskich wieńców wart,
Choć go nie chwalą chwalce,
Ten, kto zachował duszy hart
W codziennej z życiem walce.

Walka wyborcza.

Wobec zbliżających się wyborów do sejmu pruskiego rozpoczęły się już przygotowania do walki wyborczej, mającej rozstrzygnąć, ilu posłów do sławetnej Izby ustawodawczej wyślemy.

Podobnie jak w całych Prusach i w naszych dzielnicach polskich nie widuje się zazwyczaj tego zapału, towarzyszącego zazwyczaj akcyi wyborczej do parlamentu. Sprawia to niesprawiedliwy, trzyklasowy system wyborczy, który według wielkości sakiewki, normuje ważność głosów obywatelskich.

Kto był ostrożny we wyborze rodziców lub własną zapobiegliwością zdążył stworzyć sobie dostatni byt materyalny, ten z mniejszem lub większem poczuciem doniosłości tegoż aktu rzuci nazwisko swoje na szalę, kędy się ważą losy „walmanów". Szara masa niemiennej ludności, odgrywająca w każdym demokratycznym ustroju społeczeńskim tak wielką i doniosłą rolę, w Prusach była i jest tą misera contribuens plebs. Jej rola polityczna ogranicza się głównie na płaceniu podatków, czynności należącej do dziedziny, w której słońce równouprawnienia nigdy nie zachodzi.

Czyż tedy dziwić się, że przeciętny obywatel pruski trzyma się zdala od lokalów wyborczych, że sprawa zapełnienia hakatystycznej kuźni ustaw wyjątkowych nie wiele mu sprawia troski? Toż przeciętnie ani połowa uprawnionych od głosowania nie idzie na wybory, a nie brak okręgów, gdzie nawet trzy czwarte prawyborców spokojnie pozostaje w domu.

U nas, dzięki Bogu, udział w wyborach sejmowych jest znacznie większy, lubo nie dorównuje udziałowi we wyborach do parlamentu.

Polega to nie na tem, żebyśmy wierzyli, jakoby liczba przeprowadzonych posłów polskich miała jakikolwiek wpływ na politykę rządu wobec nas, lecz jest wynikiem zupełnie innych rozważań.

Mianowicie zależy nam na wykazaniu, że nie cofamy się pod naporem eksterminacyjnej polityki antypolskiej, chodzi poprostu o znaczenie naszej siły żywotnej, o przeprowadzenie pewnego rodzaju bilansu narodowego, o policzenie się, o wyzyskanie sposobności do zaprotestowania przeciwko polityce wobec nas zastosowanej, nareszcie o wyzyskanie podatnej sposobności do agitacyi i uświadomienia politycznego tam, gdzie na skutek ustawy kagańcowej zebrań politycznych odbywać nam poza czasem wyborczym nie wolno.

Z tych wszystkich przyczyn życzyć należy, aby udział tak w akcyi przedwyborczej jak w samych wyborach był jak najwydatniejszy i jak najbardziej ożywiony.

Szczególniejszą uwagę zwrócić należy na okręgi kresowe, silnie podniemczone. Wszędzie tam należy rozwinąć szeroką akcyę wiecową, tyle ważną w okolicach pod tym względem tak bardzo upośledzonych.

Umożliwi to przynajmniej energiczną agitacyę w kierunku narodowym, która — naszem niemiarodawczem zdaniem — na kresach potrzebniejsza jest, aniżeli w powiatach z przeważającą polską ludnością.

W tej myśli wzywamy naszych szanownych czytelników, by posłuszni rozkazom prawowitej władzy, wszyscy bez wyjątku spełnili swój obowiązek.

Do pp. Prezesów
powiatowych Komitetów wyborczych w W. Ks. Poznańskiem.

Według obwieszczenia ministerstwa spraw wewnętrznych, zamieszczonego w „Orędowniku państwowym," naznaczone są prawybory na dzień 16-go maja, a wybory posłów na 3-go czerwca. Tam, gdzie wskutek zaprowadzenia t. zw. formy czasokresowej lub grupowej (Frist- oder Gruppenwahl) głosowanie nie może się odbyć w oznaczonych dniach, skończone mają być prawybory najpóźniej dnia 28-go maja, a wybory posłów najpóźniej 9-go czerwca roku bieżącego.

Wobec tego musimy bezwłocznie w myśl naszego regulaminu zająć się pracą wyborczą.

Szanowni Prezesowie Komitetów powiatowych zechcą zatem przedewszystkiem zwołać swoje Komitety, żeby wszelkie istniejące braki organizacyi uzupełnić i ścisły plan postępowania ułożyć. Zwracamy mianowicie uwagę na to, żeby każdy okręg komisarski lub miasto miały swoje Podkomitety, z członkami Komitetów powiatowych, jako kierownikami na czele, zaś każdy obwód prawyborczy dostateczną ilość mężów zaufania. Zawiły, trzyklasowy sposób głosowania do sejmu pruskiego wymaga jak największej dokładności w przygotowaniu prawyborów, bo wynik tychże rozstrzyga o wyborze posłów. W rękach mężów zaufania, których zadaniem dotrzeć

do każdego prawyborcy, spoczywają w przeważnej mierze losy przyszłych posłów. Należy więc na mężów zaufania powoływać ludzi chętnych, sprężystych, w pracach wyborczych wypróbowanych.

Po dokonaniu tych prac przygotowawczych zechcą szanowni Prezesowie w myśl § 19. **nowego regulaminu wyborczego, który** Im wkrótce przesłany zostanie, zwołać walne zebrania obwodowe celem wyboru po dwóch kandydatów poselskich na każde krzesło poselskie.

W powiatach, objętych zakazem językowym, już obecnie trzeba wybierać i komitety powiatowe i delegatów. Jednakże zwracamy uwagę, że te nowo wybrane komitety i ci nowo wybrani delegaci wstąpią dopiero w swoje urzędy w r. 1914, bo wtedy dopiero kończy się pięcioletni okres urzędowania obecnych władz wyborczych.

Niezależnie od walnych zebrań obwodowych powinny w każdym powiecie odbyć się jak najliczniejsze wiece wyborcze, żeby ogół wyborców do wyborów zachęcić i zaznajomić z obecnem położeniem politycznem, wynikłem z uchwalonych ustaw o wywłaszczeniu i zebraniach. Urządzanie wieców wyborczych obecnie tem jest konieczniejsze, że na mocy § 7 ustawy o zebraniach w całym szeregu powiatów poza okresem wyborczym przez następne pięciolecie nie będziemy mogli odbywać zebrań publicznych w polskim języku. Byłoby więc największą szkodą, gdybyśmy w powiatach, objętych zakazem § 7, obecnie z przysługującej nam swobody nie korzystali i wieców nie zwoływali.

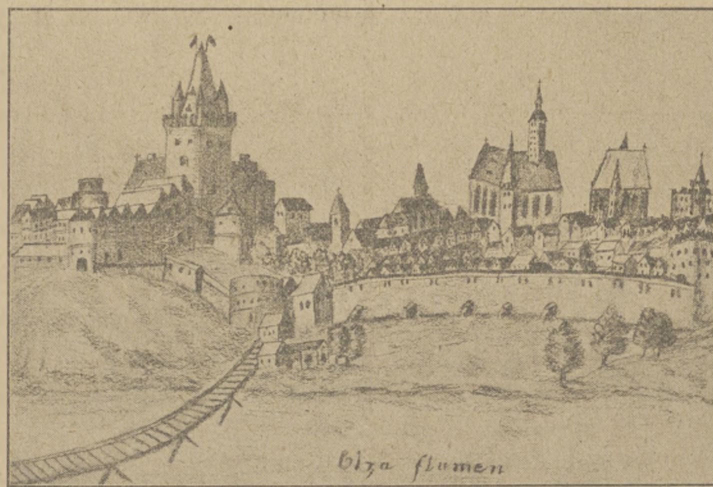
Pruski minister spraw wewnętrznych wydał już okólnik, w którym podnosi, jak ważną jest rzeczą, by władze postarały się o to, ażeby spisy wyborcze wyłożone były w dniach przeznaczonych do publicznej wiadomości tak, aby w zwykłych godzinach biurowych przejrzeć je mogli interesenci. Przełożonym gminy i przełożonym wyborów i t. d. należy nakazać, ażeby nawet w osobistej ich nieobecności spisy te wyłożone były. Kopiowanie ich ma być dozwolone w sposób taki, by przez to inni interesenci, równe mający prawa, nie byli w przejrzeniu i badaniu tych spisów ograniczeni, i że nie będzie zachodziła uzasadniona obawa nadużyć. Minister oczekuje, że pod tym względem nie nadejdą do jego wiadomości żadne uzasadnione zażalenia.

Z prawa powyższego należy w jak najszerszej mierze korzystać.

Prowincyonalny Komitet Wyborczy na Wielkie Księstwo Poznańskie.

Cieszyn.

Na studni t. zw. brackiej w Cieszynie widnieje następujący napis: Trzej synowie Leszka III., króla polskiego, Bolko, Cieszko i Leszko spotkali się po długiej wędrówce w lesie przy tem źródle i ciesząc się założyli miasto, które na pamiątkę nazwali „Cieszyn".



Cieszyn w XVII stuleciu. Ogólny widok.

Według tego podania miało się to stać około 800 r. po Ch. Jednak jak wszelkie nasze podania tak i to niewiele a może wcale niema najmniejszego wątku historycznego. Dzieje Cieszyna, jak dzieje każdej znaczniejszej osady giną w pomrokach dziejów a my tylko na pewnych analogiach i domysłach możemy opierać przypuszczalne założenie miasta. Jak z jednej strony faktem jest, że mimo częstego i gęstego naruszenia powierzchni ziemi, nie znaleziono nigdzie szczątków oznak życia przedhistorycznego,[1]) tak z drugiej strony od dat legendarnych nie oddalimy się zbytnio, gdy zaznaczymy powstanie Cieszyna na wiek X. lub początek XI. Pierwszą wzmiankę spotykamy o Cieszynie w dokumencie papieża Hadryana IV. w r. 1155, potwierdzającym przywileje biskupstwa wrocławskiego. Jest tam wzmianka o Cieszynie jako kasztelanii, więc gród musiał być już wcale pokaźnym, musiał być ważniejszym i warowniejszym ponad inne, skoro był siedzibą dostojnika królewskiego. Bezwątpienia gród ten znany był już Bolesławowi Chrobremu w wojnach czeskich oraz węgierskich. Zresztą samo położenie grodu nie było poślednie.



Studnia piastowska w Cieszynie.

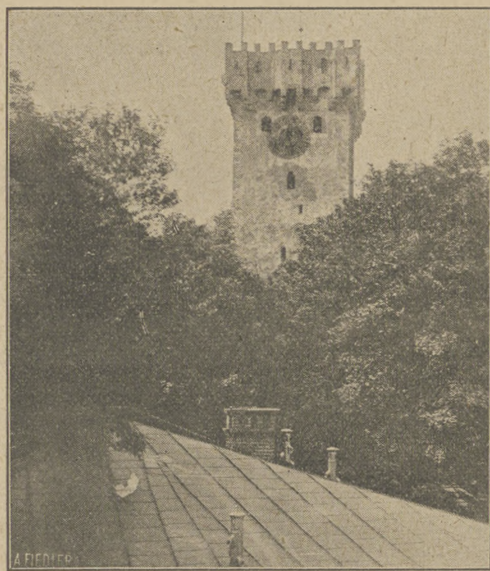
Ostatnie kończyny pogórza Beskidu lesistego wrzynały się w kotlinę Olzy wyniosłem wzgórzem, oblanem z trzech stron rzeką Olzą i Bobrówką. Tu u podnuża zbiegały się szlaki, wiodące z Czech do Polski, oraz z Węgier ku północy.

Na szczycie skalistego wzgórza wzniesiony zamek, był jakby bramą ku obronie Śląska wzniesioną. Kto był jego założycielem — niewiadomo. Profesor gimnazyum polskiego w Cieszynie i badacz dziejów Śląska Franciszek Popio-

[1]) To zjawisko należy sobie tłumaczyć częstemi wędrówkami ludów z północy na południe między Karpatami a Sudetami kotliną Odry i Morawy, lub Olszy, przez przełęcz Jabłonowską.

łek, przypisuje założenie grodu jakiemuś rycerzowi Czechowi.[2])

Oczywiście jak zwykle tak i tu, u stóp zamku w miejscu dzisiejszego przedmieścia frysztackiego powstały pierwsze zaczątki miasta. Takie było mniej więcej powstanie i taka była pierwsza misya grodu cieszyńskiego. Pierwsze liczne wzmianki o Cieszynie potwierdzają istnienie zamku i osady, która z czasem przemieniła się w miasto. I tak dyplomem dotacyjnym[3]) w r. 1223 dnia 25. maja oddaje biskup wrocławski Wawrzyniec na prośby księcia opolskiego Kazimierza zakonnicom przy kościele Zbawiciela w Rybniku dziesięciny pewnych miejscowości w burgrabstwie cieszyńskiem, a wśród nich wymienione jest suburbium przedmieść. Może tu być mowa jedynie o przedmieściu Cieszyna. — W dokumencie z dnia 27. maja 1223 jest wzmianka o kaplicy zamkowej pod wezwaniem św. Mikołaja. W r. 1228 i 1239 wzmianka o Janie, kasztelanie cieszyńskim, jako o świadku. Około 1246 roku oddaje Mieszko II. opolski matce swej Wioli zamki, cieszyński i raciborski jako dar; 1257, 1258, 1260 jest mowa o kasztelanie cieszyńskim Ruprechcie, 1281 wzmianka o Henryku, niższym podkomorzym cieszyńskim, tak samo 1283 był niejaki Jeschko z Koznitz. Obaj byli może wyższymi, lecz poddanymi burgrabiemu, urzędnikami zamkowymi; 1283 wymieniono wyraźnie przedmieście Cieszyna; 1283 jest niejaki Bartłomiej kapelanem zamkowym. W 1290 jest Cieszyn już księstwem samodzielnem, gdyż 31 stycznia 1290 Mieszko I. potwierdza jako książę cieszyński i pan na Oświęcimiu swemu służebnikowi Boguszowi zakupno 10 frankońskich włók nad Olzą, blizko Cieszyna, które kupujący nabył od książęcego urzędnika menniczego imieniem Fritto, oraz nadaje Boguszowi prawo wybudowania młynów po obu brzegach Olzy, prawo łowienia ryb, polowania na zające i wyłączne prawo sądownictwa, tak, że koloniści osiedleni na tych 10 włóknach byli wyjęci z pod sądownictwa wójtów miejskich. W tym liście Mieszka wymieniono dwóch mieszczan cieszyńskich, Lamberta i Prähsinga jako świadków. Według tego nie ulega wątpliwości, że Mieszko I. miał na myśli jedynie wójta blizkiego Cieszyna. Ponieważ wójtowie są cechą miast z prawem niemieckiem i ponieważ tylko mieszkańców takich miejscowości można było nazywać „mieszczanami" stąd wolno wnosić, że Cieszyn już przed 1290 r. był miastem na prawie niemieckiem. To samo wynika z innego dokumentu, niewiele późniejszego i to z wszelką pewnością, bo r. 1292, dnia 10 listopada nadaje książę Mieszko I. braciom Rüdigerowi i Piotrowi prawo urządzenia posiadłości książęcej Zatora według prawa miasta Cieszyna, który był początkowo



Wieża piastowska w Cieszynie.



Medal wykonany przez profesora Raszka na pamiątkę tysiąclecia założenia Cieszyna.



Druga strona medalu.

na prawie miasta Löwenberga, co wynika z przytoczonego listu.

Ponieważ już w r. 1223 jest wzmianka o przedmieściu i kilku miejscowościach okolicznych Cieszyna, przeto można wnosić, że miasto Cieszyn zawdzięcza swe powstanie Kazimierzowi opolskiemu (1211-29), który dbał o kulturę w swych krajach i zasłużył się bardzo przez zakładanie wiosek i miast na prawie niemieckiem.

Do większego znaczenia przyszedł Cieszyn dopiero w r. 1290, w którym to roku, jak już wspomnieliśmy, został stolicą udzielnego księstwa. Stało się to dzięki podziałowi Polski przez Bolesława Krzywustego w r. 1139 i ustawicznemu rozdrobnieniu Śląska między następców i potomków Władysława II.

Już więc w samej rzeczy dwór książęcy wabił kupców i gromadził większą ilość ludu koło zamku cieszyńskiego, a nadto sami książęta dbali o rozwój państwa, które w miarę rozwoju dawało im większe dochody.

Na wyniosłem wzgórzu nad miastem w miejscu dawnego drewnianego stanął obszerny murowany i ufortyfikowany zamek książęcy, opatrzony murami i basztami,—miasto zyskało z czasem kilka kościołów i szereg domów i kamienic książęcych, wreszcie ubezpieczono je murem, do dziś dnia w niektórych miejscach zachowanym. Celem większego rozwoju miasta nadali Cieszynowi książęta szereg przywilei, a nadto prawo magdeburskie z r. 1374, którem to prawem rządziły się większe miasta na wschodzie. Stosunki z Polską rozluźniły się coraz bardziej, książęta piastowscy zniemczeli i coraz więcej chylili się ku zachodowi.

Hołd królom czeskim w r. 1327 był kamieniem węgielnym pod utrwalenie panowania czeskiego nad Śląskiem. Co prawda, pośród innych książąt książę cieszyński od hołdu się usuwał, ale to stosunków nie poprawiło, a w lat parę na mocy układu Kazimierza Wielkiego z królem czeskim w Wyszehradzie, — Śląsk przypadł do korony św. Wacława.

Mimo to książęta śląscy utrzymywali dalej stosunki z Rzecząpospolitą polską, na co wpływał niezmiernie wzrost państwa polskiego,, a upadek rzeszy niemieckiej.

Na dworze Jagiellonów w Krakowie zjawiają się raz w raz książęta cieszyńscy, uczestnictwem swem w uroczystościach państwowych dodając blasku, choć z drugiej strony rażąc panów polskich swym strojem, mową i obyczajami przyjętemi z zachodu.

Książę Przemysław z powodu sympatyi do Polski za czasów Kazimierza W. o mało nie postradał swego dziedzictwa u króla Macieja węgierskiego; książę Kazimierz, który pierwszy uznał Władysława Jagiellończyka królem czeskim, otrzymał wielkorządztwo całego Śląska, zawarł przymierze z Polską podczas wojny krzyżackiej, i stanął

[1]) Czech, Wojciech, Ciechosław, Czesław itp.
[2]) Ks Oskar Zawisza „Założenie Cieszyna.

w pogotowiu zbrojnem w razie, gdyby z tej strony zagroziło niebezpieczeństwo niemieckie. Wtedy to otoczono zamek i miasto murem, wzmocniono barakami. Reszta tych murów tak zamkowych jak też i miejskich zachowała się do dziś dnia.

Wreszcie Wacław, książę cieszyński, zjawia się w r. 1556 w Krakowie, gdzie uczestniczy w uroczystości składania hołdu Zygmuntowi Augustowi. Wogóle w XV. i XVI. stuleciu kilkakrotnie nadawała się sposobność odzyskania Śląska i to nie tylko ks. Cieszyńskiego, ale i kilku innych. Niestety, samozachowawcza i spokojna polityka Jagiellonów nie wysilała się bynajmniej na wykorzystanie nadających się sposobności.

Zapewne pod wpływem tych stosunków z Polską jak też ze zwierzchniczemi Czechami, książęta cieszyńscy usunęli ze swej kancelaryi język niemiecki, a zaprowadzili miejscowy. Określamy go w ten sposób dlatego, ponieważ język ten był konglomeratem języka czeskiego i polskiego, co poznać można dobrze z wygłoszonych przez prof. Popiołka materyałów do historyi miast śląskich. Książętom Piastowskim zawdzięcza też Cieszyn bardzo wiele. Oni starali się o jego rozkwit i dobrobyt, oni upiększali go swemi budowlami oraz licznemi kościołami; obdarzali przywilejami. Z ich czasów pochodzą charakterystyczne bądź co bądź o zasobliwość miasta i ich mieszkańców świadczące budowle, n. p. zamek, ratusz, liczne domy z podsieniami w rynku, a dalej kościoły z swemi nagrobkami i t. p.

(Dokończenie nastąpi).

Z naszych spraw.

Komitet wyborczy

na miasto Poznań podzielił naszych polskich wyborców na 5 okręgów, dla których odbędzie się 5 walnych zebrań okręgowych — a mianowicie 2 zebrania dla starego miasta (7-go i 13-go kwietnia) oraz po jednem dla Jeżyc (13-go kwietnia) Wildy (6-go kwietnia) i dla Łazarza (13-go kwietnia). Jako kandydaci mają być postawieni przez komitet:

1) Bernard Chrzanowski,
2) St. Offierski.

Wybierać mamy dwóch delegatów i ich zastępców. Postawieni być mają 1) pp. Karol Rzepecki, 2) dr. M. Seyda, zastępcami ich mają być pp. St. Offierski i Z. Lewandowski. Do komitetu ma być wybranych 40 obywateli.

* * *

Wspaniałe dwa wiece kobiet polskich w Bytomiu

odbyły się w poniedziałek, 31-go marca b. r. w „Ulu.“ Wskutek przeszkód, czynionych wiecowi, zwołanemu na wtorek zeszłego tygodnia, a w końcu rozwiązanemu z powodu rzekomego przepełnienia sali, zgłosił tym razem p. Stanisław Kuhnert, kierownik „Unii księgarskiej“ w Bytomiu, 3 wiece na policyi rozbarskiej, ażeby na każdy wypadek zamiar kobiet przeprowadzić. Odbyły się dwa wiece: jeden na sali przy udziale około 600, drugi na podwórzu i w ogrodzie przy udziale około 1000 kobiet. Setki nie mogły się dostać do „Ula.“ Wiece zagaiły słowami serdecznemi pp. Eckertowa i Korfantowa z Bytomia i przewodniczyły im; zastępowały w przewodnictwie pp. drowa Miecznikiewiczowa i Pietruszkowa z Katowic, urząd sekretarek sprawowały panie Twardowska Melania z Bytomia, Mędlewska z Katowic i Dombkówna z Bytomia.

Po odśpiewaniu pieśni: „Serdeczna Matko,“ przemawiali ks. poseł Pośpiech o położeniu politycznem na Górnym Śląsku, panie Teodora Dombkowa i Włosiowa o obowiązkach Matki-Polki, poseł p. Korfanty i p. Galasiowa: Polka jako obywatelka, poseł Dombek o walce górnośląskiej kobiety polskiej z germanizacyą. Prócz tego zabierali głos: pani Bramowska, która pięknie powiedziała o potrzebie zbudowania wieży narodowej na Górnym Śląsku, pp. Przybyła z Król. Huty (w dobitnych słowach przedstawiając dolę kobiety pracującej ciężko na kawałek chleba i gospodarzącej przy niedostatecznym zarobku męża - żywiciela), Wojciechowski i t. d.

Rezolucye przyjęto jednomyślnie przez oba wiece w celu obmyślania sposobów rozszerzania i utrwalenia uświadomienia narodowego, oraz wzmocnienia odporności przed zalewem germanizmu.

W końcu odspiewano pieśń: Wszystkie nasze dzienne sprawy.

Wiece odbyły się przy największej uwadze wiecowniczek, które często przerywały mówczyniom i mówcom okrzykami i oklaskami. Zapał był bardzo wielki, spokój i porządek wzorowy. Komisyi wiecowej i porządkowej należy się uznanie. A wielka — jak na nasze stosunki — była ofiarność kobiet: zebrano 155 mrk., z których mniejszą część wydano na pokrycie kosztów wieców, a większą część (około 90 mrk.) przeznaczono jako fundusz do związku towarzystw kobiecych na Górnym Śląsku, który na wniosek p. redaktorowej Dombkowej utworzony zostanie niebawem.

* * *

20 wieców górników

odbyło się w ubiegłą niedzielę w górnośląskim obwodzie przemysłowym, a mianowicie w Rozbarku, Łagiewnikach, Michałkowicach, Bogucicach, Nowejwsi, Chropaczowie, Załężu, w Borze przy Wielkich Paniowach, Mikołowie, Nakle, Rokietnicy, Starych Reptach, Lendzinach, Rydułtowach, Bytkowie, Kosztowach, Janowie, Król. Hucie, Jaśkowicach i Górnych Łaziskach.

Górnicy garnęli się na wiece we wielkiej ilości; miejscami było po 3000, gdzieindziej po 1500, po 1000 i t. d. wiecowników, co świadczy najlepiej o wielkim zapale w ruchu zarobkowym między górnikami.

W Rozbarku przemawiali pp. Lebioda i poseł Dombek, który między innemi wskazywał na bałamutne i wprost wrogie zachowanie się gazet niemieckich wobec obecnego ruchu zarobkowego robotników polskich.

W Rozbarku sala „Ula“ i przyległe pokoje, podwórza i ogród były zapełnione.

W Przyszowicach przemawiał poseł Sosiński przed blizko 3000 ludzi, którzy jednomyślnie zgadzali się na ruch zarobkowy i na kroki przedsięwzięte przez organizacye. W Bytkowie i Michałkowicach przemawiali pp. Niestrój i Piecha Karól przed 1500 i 2000 górnikami, w Bogucicach i Janowie p. Brzeskot przed 2000 i 4000, w Biertułtowach p. Nokielski przed 3000, w Bykowinie i Nowejwsi p. Wieczorek Wojciech przed 1500 i 3000, w Kosztowach p. Sewerin przed 1500, w Chropaczowie p. Przybyła przed 2000, w Brynowie i Załężu p. Manowski przed 800 i 3000, w Rokietnicy p. Szyler przed 800, w Łagiewnikach p. Korpus przed 800, w Reptach p. Leon Piecha przed 200, w Łaziskach ks. poseł Pośpiech i p. Wieczorek przed 600, w Mikołowie p. Dubiel przed 800, w Lendzinach p. Suchanek, w Król Hucie na zebraniach załogowych p. Bocionek i inni.

Wszędzie robotnicy podpisywali wypowiedzenie pracy i wstępowali do organizacyi.

* * *

Zjazd delegatów Związku Zawodowego Polskiego Oddziału rzemieślniczo-robotniczego

odbywał się w Gnieźnie w Domu katolickim w ubiegłą niedzielę i poniedziałek. Na zebranie przybyli tylko zaproszeni delegaci poszczególnych filij z Księstwa, Prus Zachodnich, G. Śląska i obczyzny. Razem było obecnych około 80 delegatów. Zebranie zagaił prezes Oddziału p. poseł Nowicki powitaniem zebranych, poczem stwierdzono legitymacye delegatów. Zebrania takie odbywają się co dwa lata. Sprawozdanie z działalności oddziału zdał p. Nowicki, dawszy ogólny pogląd na rozwój i czynność Zjednoczenia Zawodowego tutaj w Księstwie i w dalszych stronach. Powoli oddział rzemieślników i robotników się rozwija. Mówca podniósł, że w ostatnich dwóch latach założono 87 filij oddziału rzemieślników i robotników na całym obszarze, głównie jednak w Księstwie. Oddział rzemieślników liczy przeszło 10 tysięcy członków. W Księstwie urządzono bardzo wiele wiecy agitacyjnych, lecz nie przyniosły one Zjednoczeniu wielkich zysków. Zebrania nieraz liczyły po 1000 obecnych. a jednak ze zebranych mało kto do Zjednoczenia się zapisał. Mówca zaleca więcej się chwytać agitacyi osobistej, domowej. Praca administracyjna Zarządu

była bardzo trudna, a głównie z tego powodu, że nie ma jednolitości w tej pracy, gdyż, obejmujemy różne zawody. Przeszło półtorej godziny p. Nowicki omawiał szczegółowo i wyczerpująco działalność oddziału i wskazywał na braki i niedostatki, jako też niedostatnią czynność i wezwał delegatów, ażeby szerzyli agitacyę za Zjednoczeniem.

W dniu drugim obrad zajmowano się głównie zmianą ustaw. Wniosek filij bydgoskich o ustanowienie sekretaryatu na Bydgoszcz i okolicę przez zarządy główne poparty został i pierwsze kroki już poczyniono. Rozdzielenie oddziałów na dwa, rzemieślniczo-robotniczy i budowlany, dokonano. Oddział budowlany obejmuje 66 filij, a w oddziale rzemieślniczo robotniczym pozostaje 130 filij pod prezesostwem p. posła Nowickiego.

Po treściwych i gorących przemówieniach p. poseł Nowicki przekazawszy przez delegatów serdeczne pozdrowienie do członków okrzykiem „Zjednoczenie Zawodowe Polskie niech żyje“ zamknął walne zebranie.

* * *

Główny wiec dla Polaków w Berlinie odbył się w ubiegłą niedzielę na wielkiej sali „Concordia“ pod przewodnic- p. Franciszka Krysiaka. Pomimo pięknego powietrza obszerna sala była zapełniona wiecownikami. Przyjęto następujące rezolucye:

1) W sprawie głosowania, ażeby nie wysługiwać się żadnym partyom, lecz pozostać sobą i na obczyźnie wstrzymać sie od głosowania.

2) W sprawie nowego projektu antypolskiego wyraża oburzenie na postępek rządu i w końcu wzywa naszych posłów, ażeby w sejmie głosowali przeciw całemu etatowi, a w parlamencie ani fenyga nie uchwalili na powiększenie wojska.

3) W sprawie Rady Narodowej, domaga się urzeczywistnienia tej ważnej instancyi i wyraża przekonanie, że przyszła Rada Narodowa tylko wtedy znajdzie posłuch, jeżeli opartą zostanie na podstawie szerokiego uwzględnienia naczelnych organizacyj politycznych, kulturalnych i ekonomicznych i jeżeli będzie miała charakter władzy prawdziwei, a nie tylko instancyi doradczej.

Wiec miał przebieg poważny i budujący.

* * *

„Zagrożona“ niemczyzna.

Rząd pruski ogłasza cały szereg okręgów, w których niemczyzna znajduje się podobno w niebezpieczeństwie i dlatego ma się tam zastosować ustawę o utrwaleniu posiadłości niemieckiej. Są to niektóre okręgi w Prusach Wschodnich, na Pomorzu, na Śląsku, oraz w Szlezwiku i Holsztynie. O Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich nie ma tu mowy, bo w tych dzielnicach przecież niemczyzna jest stale „zagrożona“ w każdym kąciku, pomimo stosowania od lat całych szeregu przeróżnych ustaw wyjątkowych ku jej ochronie i wzmocnieniu. Chorej niemczyźnie podaje rząd co chwilę słodkie ulepki i specyały, a jakoś ciągle niedomaga, gdy tymczasem polskość, pasiona czarnym i suchym chlebem, jest jędrna i ma jej się na życie, bo nie przepasiona nadmiarem delikatesów, których nikomu nie odbiera przemocą lub podstępem.

Na widowni.

Wypadki polityczne niecodziennego znaczenia następują szybko jeden po drugim.

Gdy w Niemczech samych uwaga skupia się przedewszystkiem na tem, skąd wziąć pieniędzy na pokrycie rzekomo niezbędnych wydatków na armię, inne państwa pochłania nieomal wyłącznie uwaga, skierowana na bałkańskie wypadki polityczne. I w Niemczech niepokój jest powszechny; i tutaj śledzi się wypadki z niepokojem, świeżo też zażądała komisya budżetowa sejmu obecności podczas obrad kanclerza w tej nadziei, że kanclerz, chociaż poufnie, zechce uchylić rąbka tajemnic dyplomatycznych i zdradzić to, co się dzieje za kulisami w polityce.

Charakterystyczną wiadomość o Niemczech podała jedna z gazet francuskich, że Niemcy nie wysłały na Adryatyk w celu demonstracyi ani jednego okrętu wojennego z obawy, aby nie uronić żadnej jednostki wojennej.

Niemcy nie ufają sytuacyi tak dalece, że chcą całą flotą rozporządzać na miejscu.

Dziwnem byłoby to wobec świeżych oświadczeń, złożonych w parlamencie angielskim przez lorda admiralicyi angielskiej Churchilla.

Lord angielski w mowie swej okazał bowiem dla Niemiec usposobienie bardzo pokojowe; całe ustępy w jego mowie opływały formalnie życzliwością dla Niemiec.

Churchill zdobył się na rzadką u Anglików kurtoazyę i złożył komplement admirałowi niemieckiemu Tirpitzowi za jego genialną pracę i dzieło, którem jest dzisiejsza marynarka niemiecka.

Lord Churchill poruszył śmiało poraz pierwszy w parlamencie projekt ograniczenia budowy okrętów, co uchodziło dotychchczas za sprawę bardzo drażliwą. Lord Churchill sądził, że właśnie ten ton serdeczny, w który uderzył, dawał mu prawo do poruszenia tej kwestyi.

O ile zdziwienie wywołać mogła mowa ministra angielskiego, o tyle zdumienie musiało ogarnąć każdego polityka, gdy doczekano się odpowiedzi niemieckiej.

Odpowiedź ta wypadła bardzo chłodno:

Posypały się nawet insynuacye, np. co do tego, że polityk angielski pragnął wywieść w pole Niemcy projektem swym, dotyczącym przerwy w zbrojeniach na rok jeden, ponieważ jest podstawa do przypuszczeń, że projekt przedłożył dlatego tylko, iż warsztaty okrętowe angielskie tak przeciążone zamówieniami rządowemi, że potrzeba im całego roku, aby wszystkich prac dokończyć.

Zdaje się przecież, że Anglia nie ustaje w usiłowaniach sekretnych pozyskania dla siebie zaufania Niemiec.

Sądząc z referatów z ostatnich posiedzeń konferencyi ambasadorów, możnaby wywnioskować, że Anglia w kwestyi bałkańskiej uczyniła stanowczy zwrot w stronę trójprzymierza, i że opuściła stanowisko Rosyi w kwestyi posiadania Skadru oświadczając się zgodnie z Austryą i z Niemcami, aby Skadr należał do Albanii.

Jeżeli mimo to Niemcy wciąż rezerwowane zajmują stanowisko i nie wysuwają się naprzód, to widoczne ztąd, jak wielką jest ich nieufność do Anglii.

Niemcy bowiem zdają się liczyć i z tem, że Anglia chce je ośmielić do ryzykownej akcyi, aby je potem opuścić.

Objawem poważnym jest w ostatnich dniach agitacya wszechsłowiańska ujawniająca się w sposób energiczny w Rosyi.

Najprawowierniejsze dzienniki rosyjskie wystąpiły z taką gwałtownością przeciw rządowi rosyjskiemu, a zwłaszcza przeciw ministrowi spraw zagranicznych, że tenże widział się zmuszonym do podjęcia kroku w Rosyi niezwykłego, bo do oświadczenia, iż w komisyi dumy poufnie wyjawi, czemu polityka rosyjska nie może być inną...

Z oświadczenia tego wynikałoby, że w chwili dzisiejszej i rząd rosyjski pragnie mieć opinię narodu poza sobą, co rzeczywiście w Rosyi wypadkiem jest niezwykłym.

Widnokrąg polityczny znowu więc zachmurzony.

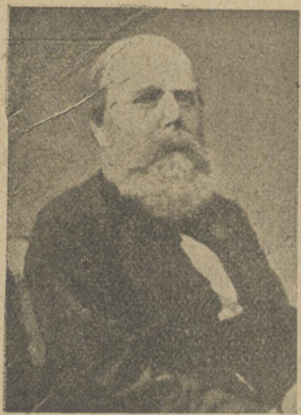
Na Bałkanach samych rozpoczyna się akt drugi dramatu, w którym na widowni zjawiają się dotychchczasowi spektatorowie bezczynni: mocarstwa.

Ten akt drugi może stać się dla pokoju europejskiego jeszcze niebezpieczniejszym, ponieważ chodzi tu o obrachunki wielkich mocarstw.

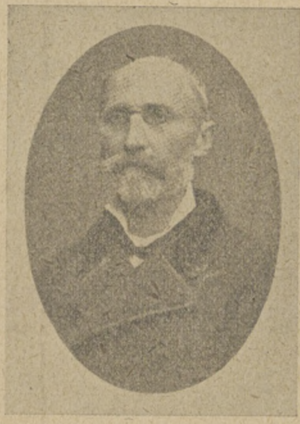
Dotychczas panuje rzekomo pomiędzy mocarstwami zgoda.

Wszystkie mocarstwa bez wyjątku,

Patronowie Spółek Zarobkowych od założenia Związku Spółek Zarobkowych t. j. od roku 1871.



Poseł Kazimierz Kantak.



Dr. Szulc.



Ks. Samarzewski.



Ks. Wawrzyniak.

a więc i Rosya i Francya, zgodziły się rzekomo na to, aby Czarnogórę zmusić, ewentualnie z bronią w ręku, do odstąpienia od oblężenia Skadru.

W ostatnich dniach musiały się dziać rzeczy tajemnicze w Cetynii. Telegramy donosiły, że ambasadorowie w Londynie zgodzili się na wspólne wystąpienie w Cetynii co do Skadru, ale to wspólne wystąpienie odkładano z dnia na dzień.

Zwłoka nastąpiła z powodu zachowania się przedstawiciela Rosyi. Poseł rosyjski w Cetynii nie otrzymywał uwiadomienia z Petersburga, aby przyłączyć się do akcyi mocarstw. Gazety wiedeńskie codzień przynosiły telegram opiewający, iż uwiadomienie z Petersburga nie nadeszło, jawnie posądzając Rosyę o złą wolę.

Zdaje się być rzeczą pewną, iż Rosya czekała na wiadomość o wzięciu szturmem Skadru, a gdy w końcu wiadomość ta nie nadeszła, musiano w Petersburgu uczynić, co uczyniły inne mocarstwa.

Przedstawiciele mocarstw zbiorowo oświadczyli więc w Cetynii, że żądają zaprzestania bombardowania Skadru.

Na to oświadczenie otrzymali odpowiedź Czarnogórza odmowną i równocześnie ze Skadru nadeszła wiadomość telegraficzna, że bombardowanie podjęte zostało od nowa.

Zdaje się, że na tę odpowiedź Czarnogóry była przygotowana Austrya, gdyż w kilka godzin po odpowiedzi — wypłynęła flota austryacka ku wybrzeżom Czarnogórza, wioząc na pokładzie cały korpus wojska.

Inne telegramy przyniosły wiadomość, że w pobliżu wód czarnogórskich dała sobie rendez-vous flota europejska.

Taka była sytuacya do wtorku wieczora.

W środę nadeszła wiadomość, że Serbowie i Czarnogórcy zdobyli już prawie wszystkie okopy znajdujące się



Ks. kanonik St. Adamski
obecny patron.

na górze Taraboszu, których posiadanie decyduje o zdobyciu miasta.

Gdy więc Skadr padnie znajdą się mocarstwa wobec faktu, którego nie uznają może Niemcy i Austrya, ale uzna Rosya i Francya...

Pytanie zachodzi jak przyjmą to komendanci gotowych do walki okrętów.

Obawa jest uzasadniona, aby nie zaszła sytuacya, o której się powiada, że same działa wypaliły...

Pół wieku
Polskich Spółek Zarobkowych i Gospodarczych.

Banki ludowe zajęły w społeczeństwie naszem nadzwyczaj ważne stanowisko. Nie dużo dziś możnaby znaleźć rodzin, z których ktoś nie byłby członkiem lub deponentem Banku ludowego. Banki ludowe, zjednoczone w „Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie", stały się prawdziwą potęgą, bo w nich — włącznie spółek handlowych — spoczywa dziś kapitał, przeszło 300 milionów marek.

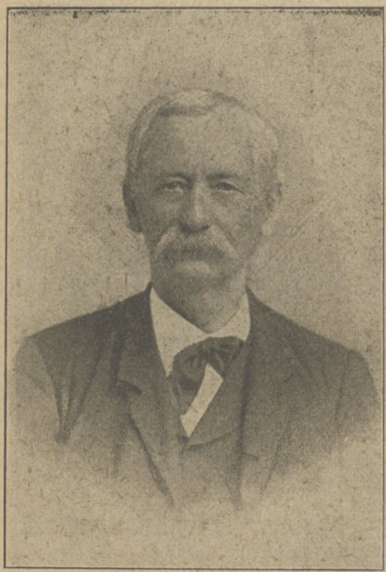
Kogożby więc losy i rozwój tak ważnej organizacyi nie zaciekawiały?! Ale nie tylko ciekawość zachęcać nas winna do zapoznania się z ustrojem Banków ludowych, „Rolników", Spółek Ziemskich i t. p., lecz prosty *obowiązek*. W Zarządach i Radach Nadzorczych spółek pracuje dziś przeszło 30 tysięcy osób, a dalsze sto tysięcy należy jako członkowie do spółek. Każdy zaś członek spółki może decydować o jej losie, bo na Walnem zebraniu przez oddanie głosu swego może się przyczynić do uchwały, wypadającej na korzyść lub niekorzyść spółki. Jeżeli więc ktoś chce sumiennie dla dobra spółek pracować, winien się też pouczyć o tem, jaki jest ustrój naszych spółek i jaki był ich dotychczasowy rozwój.

Ukazało się właśnie drukiem „Pracy" dzieło, które znakomicie tym celom służyć będzie, — p. Władysława Tomaszewskiego dwutomowe dzieło *„Pół wieku Polskich Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku; ich powstanie, organizacya i rozwój od r. 1861—1910"*.

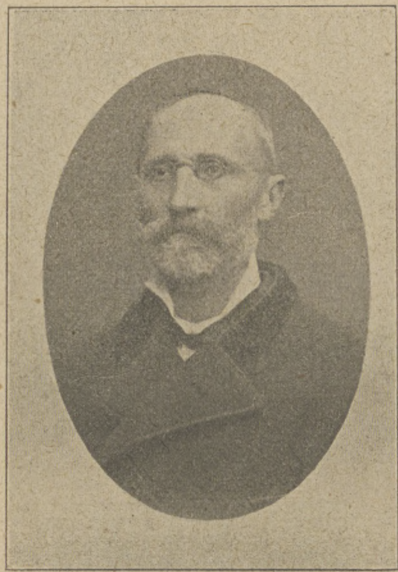
Za wartość dzieła gwarantuje nam nazwisko autora. Autor, dyrektor „Banku Związku Spółek Zarobkowych" i członek Patronatu Spółek, miał wszelkie potrzebne materyały do dyspozycyi, szczególnie powierzone mu przez ś. p. Ks. patrona Wawrzyniaka obfite materyały z akt Komitetu i Patronatu Spółek. Oprócz tego służyło autorowi bogate, osobiste doświadczenie, nabyte w dwudziestokilkoletniej pracy około naszej organizacyi. Autor publikował też już dawniej cały szereg cennych monografij o spółkach naszych, o spółkach górnośląskich, o Banku Związku, i wzbogacił naszą literaturę współdzielczą bądź to oryginalnemi pracami z tej dziedziny, bądź też tłomaczeniami z obcych języków. Do napisania więc historyi naszych spółek mało kto był tak powołany, jak właśnie p. dyrektor Tomaszewski.

Z bogatej treści dzieła nie możemy

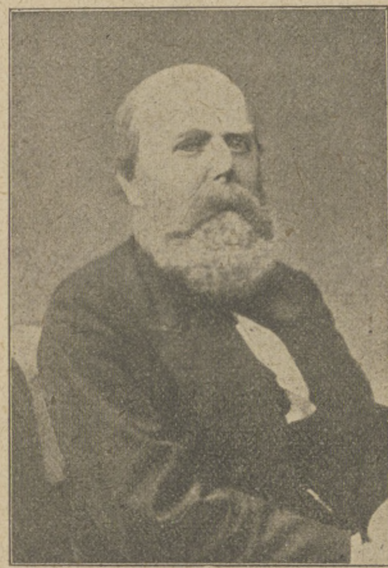
Członkowie Komitetu Wzgl. Patronatu Związku Spółek, od roku 1871—1891.



Sędzia Mieczysław Łyskowski.



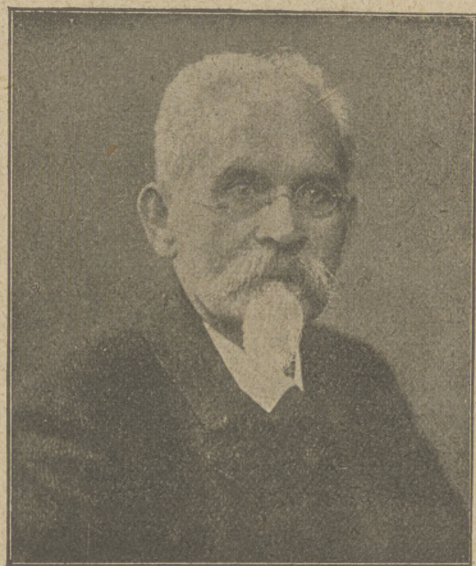
Dr. Kazimierz Szulc.



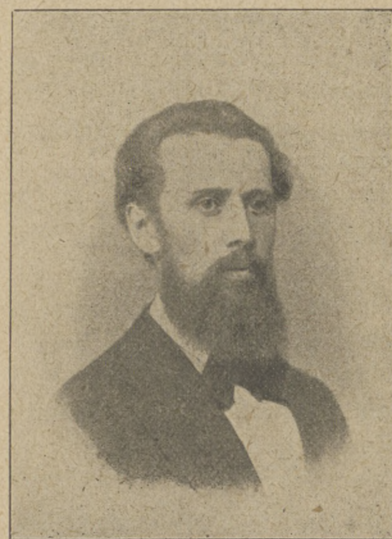
Poseł Kazimierz Kantak.



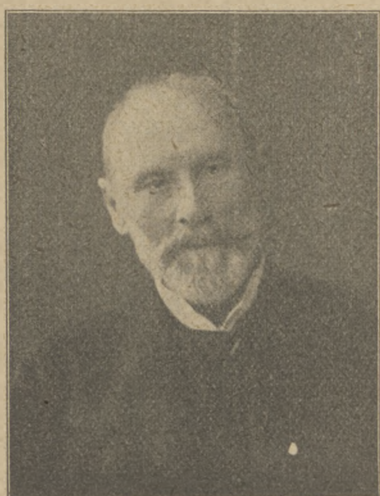
Dr. Rakowicz.



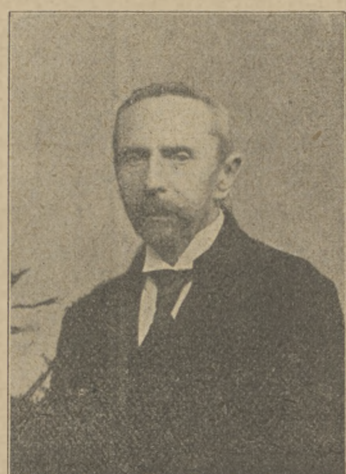
Dr. Roman Szymański



Dr. Juliusz Au.



Radzca Dr. Zielewicz.



Sędzia St. Motty.

wiele więcej podać, jak nagłówki rozdziałów, inaczej artykuł niniejszy wypadłby zbyt obszernie. Czytelników interesujących się sprawą, odsyłamy do dzieła samego.

Tom pierwszy daje nam historyę spółek i związku spółek w porządku chronologicznym. W półwiekowym rozwoju naszych spółek wyróżniają się trzy epoki. Założenie „Towarzystwa Pożyczkowego Przemysłowców miasta Poznania“ (dzisiejszego „Banku Przemysłowców“) w r. 1861, to narodziny naszej organizacyi. Przykład Poznania znalazł wnet naśladownictwo w innych miejscowościach, i już po dziesięciu latach istnienia było blizko czterdzieści spółek pożyczkowych polskich. Jednakże spółki zakładać było łatwiej, niż je prowadzić. Mimo dobrych chęci, założyciele ich nie umieli ich zawsze prowadzić należycie.

Dlatego spółki poczęły szukać wspólnego porozumienia się, celem wymiany wzajemnej doświadczeń. W tym celu założono w roku 1871 „Związek Spółek Zarobkowych“. Na czele Związku stanął Komitet, składający się z pp. M. Łyskowskiego, St. Mottego, dra Zielewicza, dra Rakowicza ,dra Romana Szy-

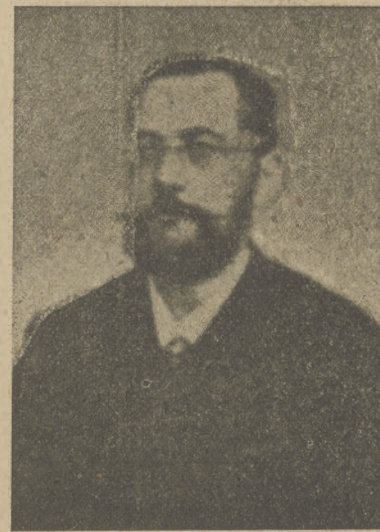
Członkowie Komitetu wzgl. Patronatu Związku Spółek, od roku 1892—1910.



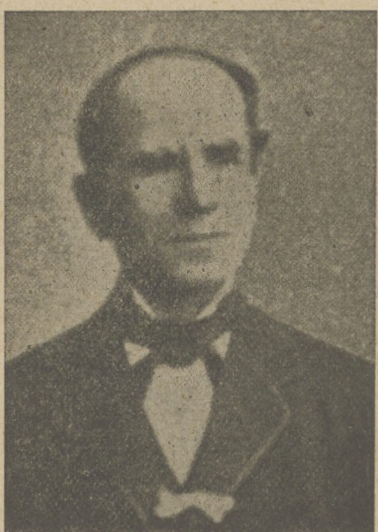
Bolesław Leitgeber.



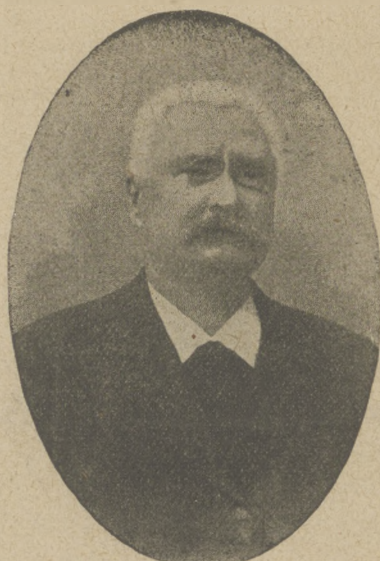
Dr. Grodzki.



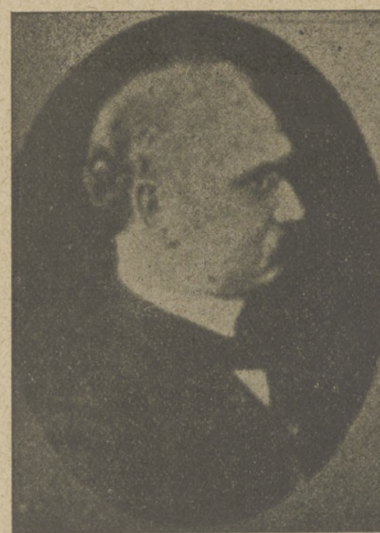
Feliks Rakowski.



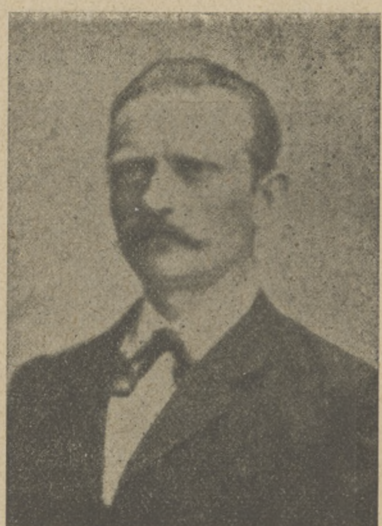
Radca dr. Witold Milewski.



Dr. Józef Kusztelan.



Józef Thiel.



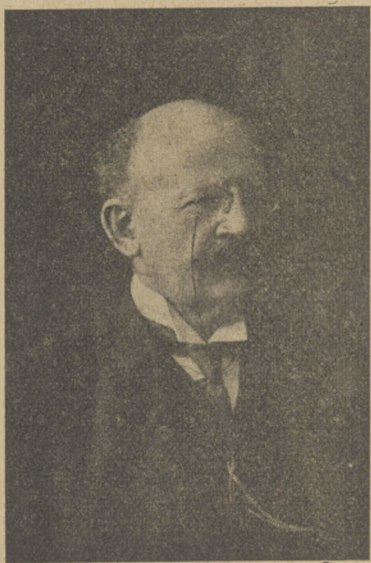
St. Orłowski.



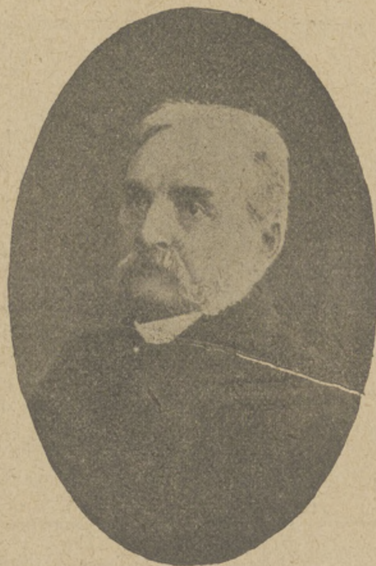
Dyrektor Więckowski.

mańskiego i dra Aua. Patronem wybrano posła Kazimierza Kantaka, który jednakże urząd ten tylko przez kilka miesięcy sprawował. Następcą jego był dr. Szulc, także tylko przez kilka miesięcy godność tę dzierżąc. Roku 1872 na pierwszym sejmiku spółek wybrany został patronem ks. Augustyn Szamarzewski, który się całą duszą poświęcił spółkom. Ciężka to była praca, — pierwszy zapał bowiem już minął i trzeba było mozolnie przyuczać pracowników spółkowych, spółki podupadające dźwigać i naprawiać, garnąć spółki do Związku, ażeby luzem idąc, nie poszły na bezdroża. Po kilkunastoletniej mozolnej pracy, poczęły się pokazywać owoce, — spółki skupiły się i wspólnie założono „Bank Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, który r. 1886 rozpoczął swą działalność. Odtąd rozwój spółek postępował raźno naprzód, — coroczny sejmik spółek zdawał sprawę z pokaźnego ich rozwoju. Roku 1891 straciły spółki swego kierownika, ś. p. ks. Augustyna Szamarzewskiego. Następcą jego został ks. patron Wawrzyniak, który wszystkim jeszcze jest w niewygasłej pamięci. Przez blizko lat 20, do 9 listopada .r 1910 działał ks. patron Wawrzyniak, aż śmierć nagła

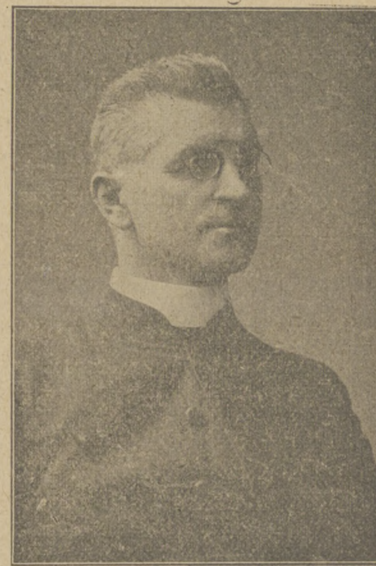
Członkowie Komitetu wzgl. Patronatu od roku 1911 do dnia dzisiejszego.



Radca Głębocki.



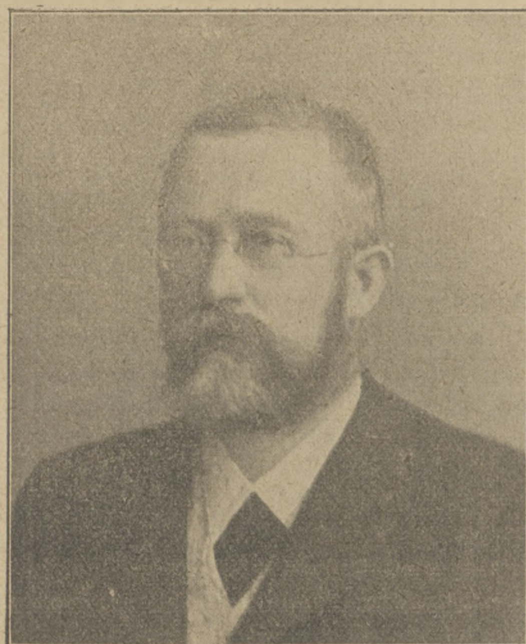
Dr. Rzepnikowski.



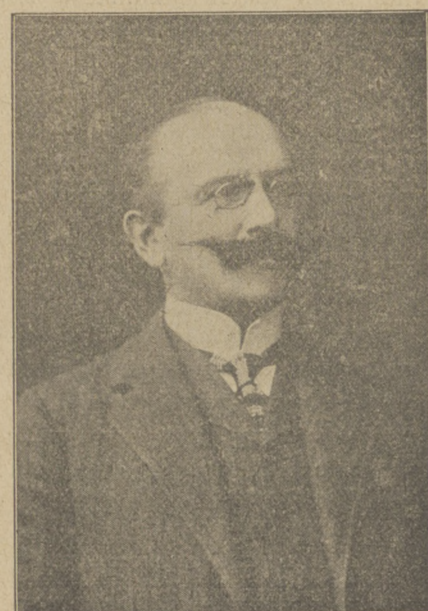
Ks. Bolt.



Ks. kanonik Stanisław Adamski.



Dr. Karasiewicz.



Julian Dziembowski



Dyrektor Władysław Tomaszewski.



Dr. Bajoński.

położyła kres jego działalności. Spuściznę po nim przejął ks. patron Stanisław Adamski.

W tomie drugim otrzymujemy naprzód historyę „Banku Związku Spółek Zarobkowych" w Poznaniu, instytucyi centralnej spółek. Chociaż to była instytucya w pierwszym rzędzie dla spółek przeznaczona, jednak założyło go 21 obywateli z kapitałem zakładowym 40 tysięcy marek. Dziś instytucya ta, największy bank polski pod zaborem pruskim, rozporządza własnym kapitałem przeszło 7 i pół miliona marek i posiada kapitału obrotowego 50 milionów marek.

Dalszy ciąg drugiego tomu zawiera właściwie najciekawsze dane, pozwala-

jąc nam wniknąć w ustrój naszych spółek. Autor przedstawia nam spółki pożyczkowe (Banki ludowe), „Rolniki“, zajmujące się zakupnem i sprzedażą produktów rolniczych, spóki parcelacyjne (ziemskie), mające dziś na celu uczciwe pośredniczenie w handlu ziemią i regulacyę hipotek włościańskich, spółki handlowe (interesy bławatne pod firmą „Kupiec“ w Prusach Królewskich), spółki rękodzielnicze i t. p.

Z rozdziału traktującego o spółkach na Górnym Śląsku dowiadujemy się, iż istnieje tam 17 spółek polskich częściowo bardzo znacznych, jak n. p. Banki ludowe w Bytomiu, Katowicach, Raciborzu, Opolu. Razem posiadają te spółki 850 tysięcy marek udziałów, milion 30 tysięcy marek rezerw i blizko 33 miliony marek depozytów.

Ostatni dział wreszcie obemuje statystykę: liczbę spółek i członków, zawód członków, kapitały obrotowe spółek, stosunek kapitałów własnych do obcych, politykę procentową spółek, statystykę spółek nie należących do Związku i pogląd ogólny.

Do obydwóch tomów dodane są liczne zestawienia statystyczne, 20 osobnych tablic statystycznych, liczne doskonale wykonane ilustracye i dwie mapy kolorowe. Dzieło wykonane w drukarni „Pracy“ w gustownej oprawie, przedstawia się okazale także na zewnątrz.

Znajdzie ono bez wątpienia jak najszersze rozpowszechnienie, tego mu życzyć nie potrzebujemy. Ale życzymy mu, żeby w społeczeństwie naszem krzewiło jak najszerzej zrozumienie dla pracy spółkowej, żeby się przyczyniło w znacznej mierze do dalszego rozwoju naszej wspaniałej organizacyi.

P. S.

Grupa uczestników z ostatnich przedstawień Kółka Miłośników Sceny w Poznaniu.



Fot. K. Ignatowicz w Poznaniu.
T. Sroczyński. Pampuch. Szafarkiewicz. S. Sroczyński.
Nowak. Koźlicki. Smulkowski.
Drowa Kucnerowa. Drowa Rydlewska. Dr. Rydlewski. Niklasówna. Siemiątkowska

Kółko miłośników sceny w Poznaniu.

Niema na świecie rzeczy, którejby nie można nadużyć. Z tej maksymy niema prawie wyjątku. Nie należy w każdym razie do wyjątków sztuka, jako jeden z przejawów piękna.

Ze strony najmniej do tego powołanej wysunięto hasło „sztuka dla sztuki“ i w imię tej zasady narzuca się zdumionemu światu wytwory fantazyi ludzkiej, wyryte na kamieniu, płótnie czy papierze, o których przynależność do sztuki można się nareszcie sprzeczać, ale w których trudno dopatrzyć się bezpośredniego czy pośredniego związku z pięknem.

Nie wdając się atoli w roztrząsanie słuszności czy niesłuszności zasady „sztuka dla sztuki,“ stwierdzić i udowodnić można fakt, że hasło to dla jego autorów nic nie znaczy, że służy ono raczej za płaszczyk do pokrycia innych celów, które dla szerszego ogółu mają pozostać tajemnicą.

I tak n. p. sławiony przez klikę liberalno-masońsko-żydowską jako wcielenie prawdy i uosobienie nieskazitelności Nietzsche takie charakterystyczne robi wyznanie: „Byłem zapalonym wielbicielem sztuki wogóle, a specyalnie sztuki Wagnera dopóty, dopóki sądziłem, że będę mógł przy jej pomocy podkopać chrześcijaństwo, że zwłaszcza polyteizm Wagnera ułatwi przejście od chrześcijańskiego monoteizmu do ateizmu. Skoro atoli przekonałem się, że celu tego osięgnąć nie można za pomocą sztuki, przestała mnie ona interesować zupełnie.“

Z takich i podobnych pobudek robi się aż do tej pory propagandę dla pewnego rodzaju utworów, zwłaszcza scenicznych, oraz dla pewnej kategoryi autorów, mających służyć jako tarany do rozbijania pojęć etycznych, zbudowanych na gruncie chrześcijańskim. A pomimo, że sumienny i myślący samodzielnie krytyk z łatwością odkryłby tam błędy, któreby nie powinny uchodzić nawet trzeciorzędnemu autorowi, to przecież wciąż jeszcze traktuje się na seryo błazeństwa takiego Bernarda Shawa, lub stawia bezczelnie na równi z Szekspirem Ibsena właśnie za jego najsłabsze utwory, w których apostołuje na rzecz „nowej“ etyki.

Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Jeden z niemieckich głowaczy, nadających „kierunek“ sztuce dramatycznej, zapowiedział już w grudniu 1911 roku radykalną zmianę. Mianowicie oświadcza on, że Ibsen mógł wystarczyć, gdy chodziło o podkopywanie „oficyalnej“ etyki, ale w każdym razie uznaje on swoją etykę, co obecnie uważać należy za przestarzałe. Kierunek najnowszy winien wznawiać tylko to, co staje poza pojęciem dobrego i złego. Autor poleca więc w pierwszej linii Kleista, dalej Hebbla i Przybyszewskiego.

Oto co się kryje poza hasłem „sztuka dla sztuki“.

A tymczasem przygodny krytyk dziennikarski nadsłuchuje pilnie, co mówi o tym lub owym elaboracie czy autorze „Europa“ i skwapliwie powtarza hymny pochwalne blatów żydowskich w przekonaniu, iż kolosalnie przysłużył się rodzimej kulturze, a najczęściej nie mając wyobrażenia o tem, że wysługuje się sprawie złej i wrogiej. Kierownicy scen zaś zmuszeni wystawiać nowości, zbyt są zależni zarówno od tego rodzaju krytyków, jako też od pewnej kategoryi teatromanów, którzy niczego się więcej nie lękają, jak tylko, ażeby — broń Boże — nie padł na nich choćby cień podejrzenia, że niedość są postępowi. Potrzeba geniuszu i zręczności reinhardtowskiej, ażeby pomimo takiego nacisku wysuwać na pierwszy plan to, co posiada istotne cechy piękna teatralnego nad przypadkowe opinie fabrykantów kierunku artystycznego.

Bo niezależnie od wszelkich pojęć

chwili, niezależnie od wszelkich gustów i od ducha czasu, istnieje sztuka, której celem jest kult piękna i na którą można poglądać *sub specie aeternitatis*. Tam ustają wszelkie różnice przekonań, kierunków, narodowości, ustaje przedział czasu i miejsca. Wielcy autorzy zamierzchłych wieków żyją dla nas tak samo, jak żyli dla swoich współczesnych i jak żyć będą potentaci prawdziwi ducha teraźniejsi dla przyszłych pokoleń.

Wyławiać z powodzi utworów scenicznych to, co posiada wartość trwalszą, co stoi ponad „dzisiejszemi wymaganiami", bez względu na kierunek, bo każdy kierunek, czy realistyczny, czy idealistyczny, czy jakikolwiek, posiada rzeczy wartościowe i bezwartościowe, zapoznać się z odnośną literaturą, oto zadanie, jakiego podjęło się poznańskie Kółko Miłośników Sceny. Zadanie bardzo trudne, a siły bardzo skromne, i zakres działalności z natury rzeczy niewielki, a przecież nie do wzgardzenia.

Do takiego celu zamierzało i takiemu zadaniu sprostać usiłowało Kółko poznańskie w miarę sił i możności od czasu swego powstania. Jeżeli zaś pomimo wszelkich trudności wewnętrznych i zewnętrznych zdołało sobie zdobyć pewien mir i uznanie, natenczas jestto dowodem, że na dobrej znajduje się drodze.

Z TEATRU.

Leon Biriński: „Jak gubernator zrobił rewolucyę."

Nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek w teatrze był więcej uśmiał, niż na przedstawieniu farsy Birińskiego. Nie wynika jednak z tego, żeby sztuka dlatego sama w sobie była „wesoła." Owszem, jest nawet przeraźliwie smutną, jeżeli się zważy, że to wszystko, co widzimy na scenie, nie jest czczym wymysłem uganiającej się za efektem jaskrawym fantazyi satyryka, lecz w gruncie rzeczy mimo całą karykaturalność rysunku wiernym obrazem ludzi, stosunków i życia rosyjskiego.

Osnowa tej sztuki tak dalece odbiega od wszystkiego, co przeciętny Europejczyk zwykł uważać za prawdopodobne, iż człowiek nie znający stosunków rosyjskich gotów jest rzecz tę uznać za niesmaczny żart, za urągające wszelkiemu zdrowemu sensowi baraszkowanie. Kto jednak jako tako zdołał się rozpatrzeć w czynowniczej Rosyi, ten w typach przedstawionych przez Birińskiego rozpozna dobrych znajomych, a nieprawdopodobna w pojęciu europejskiem fabuła sztuki przywodzi na pamięć szereg podobnych wydarzeń, o których się czyta w gazetach bądź to z niedowierzaniem bądź z osłupieniem.

Biriński, chłoszcząc przedewszystkiem deprawacyę czynowniczą, polegającą na wyzyskiwaniu urzędu w celach szybkiego zbogacenia się, czy to przez kradzież grosza publicznego, czy przez łapownictwo, nie omieszkał dotknąć i innych bolączek życia rosyjskiego. Chłoszcze on bolesny rozkład życia rodzinnego, piętnuje upośledzenie ludu i żydów, szydzi z deklamatorstwa i manii teoretyzowania rewolucyonistów rosyjskich, wśród których płeć nadobna bez porównania większe wywiera wpływy aniżeli to uzasadnia ich wartość intelektualna czy zgoła nawet ich siła liczebna.

Lecz wszystko to drugorzędne zajmuje miejsce. Na pierwszym planie stoi gubernator Chabarow wraz ze swojem otoczeniem, gubernator, który jak kania deszczu wygląda rewolucyi, gdyż jest mu ona potrzebna do zakrycia olbrzymich kradzieży sum na uśmierzenie tej nieistniejącej rewolucyi przeznaczonych. Bomba pęka, gdy jakiś Bogu ducha winien dziennikarz wielbi spokój panujący w gubernii Chabarowa.

Cóż pomyślą w Petersburgu, gdy z dziennika dowiedzą się o spokoju, skoro on, gubernator, raportuje o ciągłych rozruchach i ustawicznie nowych domaga się kredytów?

Trzeba tedy stworzyć rewolucyę za każdą cenę, a choćby tylko zamach na gubernatora urządzić. Jakoż finguje gubernator wraz z swym sekretarzem zamach na siebie, lecz rewolucyoniści, o których istnieniu gubernator i jego sztab nie mają pojęcia, a którzy ze względów partyjnych w tej gubernii właśnie nie chcą awantur, psują mu całą robotę. Kozakow, nieszczęsny amant gubernatorowej, bierze winę na siebie i domaga się sądu, aby mógł zeznać, iż nie z politycznych, lecz osobistych pobudek strzelał rzekomo do gubernatora. Wyłania się scena pełna niezrównanego komizmu, w czasie której nadchodzi telegram przynoszący Chabarowi awans na wyższe stanowisko w Petersburgu i sygnalizujący przybycie jenerała Dernowa, mającego objąć gubernatorstwo.

Stąd wynika nowy kłopot dla Chabarowa. Cóż będzie, gdy Dernow przekona się, że rewolucyi nigdy w gubernii nie było, a pieniądze na uśmierzenie jej przeznaczone zniknęły w przestronnej kieszeni jej zwierzchnika?

Zrozpaczony Chabarow za każdą cenę musi stworzyć rewolucyę. W tym celu wysyła na miasto przebranych po cywilnemu policyantów i każe im wrzeszczeć: niech żyje rewolucya! precz z caratem! Lecz rewolucyoniści wyłapują prowokatorów i odstawiają ich w ręce władzy ku rozpaczy gubernatora. Tymczasem policya zaaresztowała jakiegoś obcego człowieka, którego Chabarow bierze za przywódcę rewolucyonistów i zachęca do zorganizowania ruchawki. Chabarow omylił się wszakże fatalnie. Nieznajomy rychło wylegitymował się jako jenerał Dernow i już zabierał się do zaaresztowania Chabarowa i zebranych gremialnie rewolucyonistów, gdy nadszedł telegram z Petersburga demaskujący także Dernowa jako złodzieja publicznych pieniędzy. Na chwilę zdawało się, że Chabarow zatryumfuje, lecz władza przeszła do rąk dotychczasowego sekretarza gubernatorstwa, który, sam oszust i złodziej, dwóch drugich oszustów gubernatorów i całą szajkę rewolucyonistów oddaje w ręce sprawiedliwości.

W sztuce tej — rzecz charakterystyczna, jedyna jasna postać to żyd Goldmann. Reszta to albo złodzieje i łapownicy, albo chłopy dzikie i ciemne, albo odwróceni od realności życia ideolodzy i doktrynerzy rewolucyjni lub krwawi teroryści, rozpolitykowane dzieciuchy, sfanatyzowane histeryczne studentki, złośliwe plotkary, wiarołomne erotomanki. Tylko humor, którym autor wyzłocił te złe postacie i linia karykaturalna, wykrzywiająca do komizmu ich w najgłębszej istocie ponure rysy, sprawia, iż człowiek zachodni przez kilka godzin nie tylko znosi ich towarzystwo, lecz przez cały wieczór niemal trzęsie się od śmiechu, patrząc na ten cudaczny „Taniec czynowników."

Rozpisałem się tak obszernie o sztuce, że o artystach tylko krótko wspomnieć mogę.

Przedewszystkiem słowa najgorętszego uznania dla znakomitej reżyseryi p. Szczurkiewicza, której cały artyzm w scenach masowych się uwydatnił.

Z nie mniejszą satysfakcyą śledziłem wyborną, koncertową grę p. Rylla jako Chabarowa. Postać tę zaliczam, obok niezrównanego Klapeckiego z „Cyganeryi", do najlepszych kreacyj tegoż utalentowanego artysty. Również p. Górska jako gubernatorowa, szczególnie w scenach z Kozakowem, którego darzyła zarówno płomiennemi jak spóźnionemi uczuciami, była wyższa ponad wszelką pochwałę. Z podobnem uznaniem mogę się tylko wyrazić o panu Kindlerze, nieszczęsnym przedmiocie zapałów pani gubernatorowej. Znakomity typ tępego chłopa stworzył p. Lochman, podczas gdy p. Czerniak jako Goldmann dał nam próbę swego niezaprzeczonego w rolach tego rodzaju mistrzostwa. Panie Droz-

dowska i Janikowska w rolach chłopięcych zupełnie były na miejscu, również p. Adamówna jako rewolucyonistka uszczknęła listek wawrzynu. Chytrego sekretarza grał p. Kratochwill z wielkiem powodzeniem, również p. Kosiński był w swoim żywiole. Na tem kończę cytowanie nazwisk zaznaczając, że niejedno zasługiwałoby jeszcze na pełne uznania wyszczególnienie. Publiczność zebrała się licznie i sztukę i grę artystów przyjmowała bardzo sympatycznie. Rzecz ta ma u nas powodzenie zapewnione. Polecić ją można pod każdym względem.

* * *

„Favorita“ Donizettiego.

Jedną z najlepszych oper słynnego swego czasu kompozytora Łucyi z Lamermooru wybrał sobie p. Włodzimierz Malawski na swój wieczór honorowy. Wspaniała wystawa podniosła znacznie wrażenie wieczoru tak, że sympatyczny benefisant nie tylko jako śpiewak, lecz także jako reżyser pełny święcił tryumf. Licznie zebrana publiczność zgotowała artyście piękną owacyę kwiatową.

Obsada poszczególnych partyj spoczywała w rękach najlepszych naszych sił operowych. Fernandem był benefisant i czarował zarówno grą znakomitą jak śpiewem pełnym silnych akcentów dramatycznych. Bardzo ładnie wywiązał się p. Bukowski z zadania w lirycznej partyi księcia. Znakomitą była p. Janowska jako Leonora. Młoda artystka, która występem w Trubadurze przebojem zdobyła sympatye publiczności, w partyi Leonory nowy złożyła dowód swego niepospolitego śpiewaczego i aktorskiego talentu. Również piękną kreacyą pod względem wokalnym był przeor p. Szellera. Reszta ról w dobrych była rękach. Chóry wywiązały się z zadania należycie. Wszystko razem wziąwszy złożyło się na całość pod każdym względem artystyczną. Niemała w tem zasługa dyrygenta p. M. Eichstaedta. Na osobną wzmiankę zasługują jeszcze produkcye taneczne pp. Bańkowskich, które skutecznie przyczyniły się do uświetnienia wieczoru. Nastrój we widowni był bardzo ciepły i serdeczny.

* * *

Występ pożegnalny p. Hayka w Tru*badurze* przyniósł ustępującemu niestety artyście niezaprzeczony sukces artystyczny.

Pan Hayek śpiewał partyę Manrika i dał kreacyę pod każdym względem znakomitą. Długie, niedobrowolne wywczasy snać w niczem nie zaszkodziły głosowi śpiewaka. Zdaje się raczej, że głos tak piękny — w średnicy szczególnie — zyskał jeszcze przez odpoczynek na dźwięku i blasku.

Wspaniała owacya kwiatowa, którą licznie zebrana publiczność zgotowała artyście, starczy za wymowny dowód, z jakiemi uczuciami go żegnano. Pan Hayek istotnie kilkoletnią, sumienną, artystyczną pracą zasłużył w całej pełni na sympatyę i uznanie. W chwili ,gdy nas opuszcza, z wdzięcznością wspominamy długi szereg jego artystycznych kreacyj i dziękujemy mu za te chwile podniosłe, które z łaski jego talentu padły nam w udziale. **R.**

Nasze ryciny.

„Hermes i Persefona.“

Piękna rycina albumowa obrazuje scenę z greckiej mitologii, w której bożek Hermes uprowadza z państwa podziemnego boginię Persefonę, porwaną przez bożka Plutona, i oddaje ją tęskniącej za córką matce Demetrze, bogini ziemi.

Twórcą obrazu jest słynny angielski malarz i rzeźbiarz lord Leighton, ur. 3. 12. 1830 r. w Scarborough. Leighton, już od lat chłopięcych poświęcił się malarstwu, najpierw w Rzymie, następnie we Florencyi. Po powrocie do Anglii mianowano go w roku 1878 prezesem królewskiej Akademii sztuk pięknych w Londynie.

Mitologia jest nauką czyli opowiadaniem o bożkach i półbożkach pogańskich odnoszącem się do bardzo zamierzchłych czasów. Stosownie do różnych narodów rozróżniamy mitologię grecką, rzymską, słowiańską i t. p.

„Pół wieku Polskich Spółek Zarobkowych i Gospodarczych.“

Do artykułu pod powyższym tytułem dołączamy 29 portretów patronów i członków Komitetu wzgl. Patronatu Związku Spółek Zarobkowych od roku 1871 do roku bieżącego.

KRONIKA.

— **Walne Zebranie Wyborców** m. Poznania dla okręgów III. i IV. obejmujących północno-zachodnią część **starego** miasta z **granicami:** Rzeka Warta, Szeroka, Rynek (półn. i zach. strona), Wrocławska, Plac św. Piotra, Półwiejska (lewa strona zach.)) planty pofortecze aż do Urbanowa i Sołacza (włącznie)

odbędzie się we wtorek, dnia 8-go kwietnia wiecz. o godzinie 8-mej w Bazarze.

Porządek obrad:

1. Zagajenie, ukonstytuowanie biura. 2. Przemówienie mec. Bernarda Chrzanowskiego. 3. Nauka o wyborach do sejmu (wygłosi K. Rzepecki). 4. Wybór 2-ch kandydatów na posła. 5. Wybór 2-ch delegatów i ich zastępców. 6. Wybór 8-miu członków „Komitetu Wyborczego“ (po 4 na każdy okręg do rady miejskiej) 7. Wolne głosy — wnioski.

Do licznego udziału wzywa

Komitet Wyborczy dla m. Poznania.

St. Chociszewski, prezes. **Witold Hedinger**, sekretarz.
Karol Rzepecki, przew. Okr. IV. **Dr. Maryan Seyda**, przew. Okr. III.

— **Wybory do sądów kupieckich** odbędą się w czwartek 10-go b. m., a więc za dni kilka! Chlebodawcy głosują w trzech lokalach: Na placu Sapieżyńskim ci, których nazwiska rozpoczynają się literą od A—H, w szkole przy ul. Rycerskiej od I—O, a w szkole przy ul. św. Marcina chlebodawcy od P—Z. Mylne jest zapatrywanie tych, którzy sądzą, że nie mając firmy zapisanej w regestrze handlowym, nie mogą wybierać sędziów kupieckich. Każdy kupiec i przemysłowice (Muss- Soll- Kann-Kaufmann!), a nawet adwokat, budowniczy, lekarz itd., który zatrudnia pomocnika handlowego lub pomocnicę, ma prawo do udziału w wyborach. Banki, instytucye finansowe, spółki, towarzystwa akcyjne „jako takie“ nie głosują; ale głosują wszyscy ich członkowie zarządów i prokurzyści, na co szczególną zwracamy uwagę, bo panuje zdanie, że tylko jeden członek zarządu lub prokurzysta głosuje, a to jest mylne. W liście zapisanych jest 3000 wyborców, w tem 1000 Polaków a 2000 Niemców i żydów. Chcąc zdobyć większość, czyli trzech sędziów (na pięciu) musimy stawić się do urny jak jeden mąż. Kandydatami naszymi są: pp. Bąkowski Władysław, Glabisz Albin, Głębocki Wawrzyn, Jarczewski Wit i Kużaj Kazimierz. Lista nasza urzędowa ma numer 1. Kartki oddane na innych kandydatów są nieważne! Już dziś prosimy PP. Kolegów o zanotowanie sobie, iż wieczorem 10. kwietnia punktualnie o 6. godzinie idziemy ławą do urny. Głosowanie jest tajne.

Komisya Wyborcza Korporacyi Kupców Chrześciańskich w Poznaniu.

Albin Glabisz, prezes. Maryan Niemierkiewicz, sekretarz. W. Głębocki. W. Jarczewski. St. Koźlicki. W. Leitgeber. K. Rzepecki. Zdzisław Rzepecki.

— **„Przegląd Wielkopolski“** pismo tygodniowe. Treść numeru 13-go: Zaproszenie do przedpłaty. — Ery: Kamień filozoficzny. — Szczyt: Polska prasa współczesna tu i na obczyźnie. — Łucyan Osten: Z podróży. — Adam Brzeg-Piskozub: Wyspiański a Heine. — J. P. Jabłko miłości. — Adam Pnieynia. Na Marginesie. — Pod kreską.

Adres Redakcyi: Dolna Wałowa 1 (Biuro Związku Narodowego). Adres Ekspedycyi: Rycerska 38. — Przedpłata: Ćwierćrocznie na poczcie 2 mk., z odnoszeniem do domu 2,25 mk., pod opaską 2,50 mk.

Od Redakcyi.

— **Panu Stanisławowi K. na obczyźnie.** Przejrzyj Szan. Pan pilnie roczniki „Pracy“, a znajdziesz w nich stosowne wiersze, nadające się do deklamacyi w Towarzystwie.

— **Panu K. B. w B. pod Lubaszem.** Uwzględniamy tylko te rozwiązania, które otrzymujemy do wyznaczonego za każdym razem terminu. W tym wypadku skończył się termin dnia 27-go z. m., a pocztówkę otrzymaliśmy dnia 31-go z. m. rano.

— **Dominice Borowskiej w Wielkich Radowiskach**, Antoniemu Nowakowskiemu i Franciszkowi **Nowakowskiemu w Kijewie. Listy do** nas mylnie zaadresowane odesłaliśmy do Redakcyi „Przewodnika Katolickiego.“



A witajże jak się miewasz Kasiu jedyna?
Czy ty sobie przypominasz twego Wawrzyna?
Co to z tobą raz na wieńcu dzielnie wywijał
(da dana!
I od rana do wieczora twe zdrowie spijał
(da dana! sercem ci sprzyjał!

I choćbym padła przed tobą, bym nie poznała,
Toć ja ciebie za hrabicza samego miała!
Tak żeś ślicznie mi się zmienił, nie wierzę
sobie (da dana!
Bym mojego Wawrzyneczka widziała w tobie
(da dana! nie wierzę sobie!



Przysięgamy na konfekcyę Łuczaka & Co

Specyalność:
Swojskie wyroby
w
ubraniach,
litewkach,
spodniach
w buty
dla pp. gospodarzy.

Do
Komunii św.
ubrania granatowe
i czarne w fasonie
litewkowym,
I-o i II-u rzędowe
:-: marynarki :-:

Pomimo naszych znacznie nizkich cen udzielamy przy każdym zakupnie
5% rabatu
w gotówce.
Na życzenie służymy przesyłką wyboru.

Największy specyalny dom garderoby męzkiej i dla chłopców
gotowej i podług miary.

Lagos, stolica angielskiej zachodniej Afryki.



Ulica w Lagos.

Na całem zachodniem wybrzeżu Afryki mówi się o Lagos, jako o zwyczajnem wielkiem mieście, Anglicy zaś nazywają je albo „Londynem" albo „Bombayem" zachodniej Afryki.

W tym Londynie lub Bombayu trudno mi jednak było kupić namiot, potrzebny na wycieczkę do wnętrza kraju, i gdyby nie uprzejmość jednego z moich znajomych, który mi swojego użyczył namiotu, nie mógłbym zamierzonej odbyć podróży. Nawet kupno małego podróżnego stolika sprawiało mi trudności niezwalczone. Takie przedmioty trzeba przywieść z Europy. Ale pominąwszy śmieszne przesady Anglików co do wielkości i znaczenia miasta, trzeba przyznać, że na stosunki afrykańskie jest Lagos rzeczywiście ważnym punktem handlu i przemysłu.

Żaden port w innych koloniach nie może się nawet równać z portem w Lagos, lecz handel dzisiejszy pozostał nieomal taki sam, jakim był przed kilku laty w wszystkich miejscowościach angielskiej Nigeryi. Handel Nigeryi wynosi obecnie 200 milionów marek rocznego obrotu.

Lagos zostało założone w roku 1860 jako angielski punkt oparcia w celu przytłumienia i zniesienia handlu niewolnikami, który pomimo wszelkich deklaracyj i praktycznych przepisów europejskich mocarstw, potajemnie trwał dalej, mianowicie w mniejszych miejscowościach na wybrzeżu zachodniem. I to dopóty, dopóki Kuba i Brazylia potrzebowały „czarnej słoniowej kości". Lagos jako miejsce handlu rozwinęło się dopiero mniej więcej pięćdziesiąt lat później, gdy w handlu zaczęto się zajmować oliwą i ziarnkami palmowemi. Wtedy też zbudowano kolej żelazną na północ od Lagos, aby mieć ułatwioną komunikacyę z obfitemi w palmy nizinami.

Więcej niż cztery piąte wywozu z Nigeryi polega na produktach palmy olejnej; fabryki mydła i świec, mianowicie zaś margaryny (Palmona, Palmin) potrzebują palmy olejnej jako materyału surowego. Kto się w Lagos nie zajmuje handlem oleju i ziarna palmowego, ten nie ma tam racyi bytu.

Wielkiem utrudnieniem handlu jest t. zw. zlew, znajdujący się pomiędzy zewnętrzną zatoką a ujściem laguny Lagos. Wszystkie większe parowce muszą zarzucić kotwicę na kilka mil w morzu.



Czarni dygnitarze z Lagos.

Towary i pasażerów trzeba przewozić łodziami do parowców mniejszych, które przez zlew przepływają. Służba na łodziach z powodu niespokojnego zwykle morza bardzo uciążliwa wymaga wiele sił i zręczności sternika i wioślarzy. Linia nagielska zamierzała zmienić tę procedurę przez zaprowadzenie łodzi motorowych, lecz maszynerye zaczęły się psuć, i zamiast ulepszenia sprawy, pogorszono ją jeszcze. Wrócono więc do dawniejszego systemu. Po szczęśliwem przeładowaniu pasażerów i po przebyciu zlewu widać po lewej i po prawej stronie wspaniałe porty, t. zw. mole, przeznaczone na to, aby umożliwić w przyszłości wstęp wielkim parowcom do laguny. Budowa moli jeszcze nie skończona — wszystko za pięć lat dopiero ma być gotowe; ale ludzie doświadczeni, zwłaszcza kapitani okrętów wątpią, czy plany te urzeczywistnią się kiedykolwiek — chociażby jeszcze więcej wydano na nie pieniędzy. Dotychczas kosztowały owe mole już 60 milionów marek.

Pierwszym okazałym gmachem, leżącym po prawej stronie wjazdu do laguny jest pałac angielskiego gubernatora; dalej znajdują się koszary czarnej armii obronnej Nigeryi i domy, w których mieszkają oficerowie. Obecnie oczekują tam nowego szefa w zarządzie. Jest nim dawniejszy oficer sir Frederick Lugard. Uchodzi on za człowieka niezłomnego charakteru, mianowicie co do „polityki krajowców", która chyba jeszcze tylko w Sierra Leone gorzej się przedstawia, aniżeli w Lagos. Niedawno n. p. zdarzyło się, że gdy z powodu nowych podatków, przeznaczonych na zbudowanie wodociągów w Lagos, zaczęli

murzyni bombardować dom gubernatora kamieniami, ukryli się urzędnicy i murzyni wcale za wykroczenie to ukarani nie zostali.

Ulica wzdłuż portu nazywa się „Marina" i robi na Europejczyku dobre wrażenie. Na początku ulicy znajduje się gmach regencyi z biurami, potem kościół „Christ-Church", do którego uczęszcza najlepsze towarzystwo krajowców; nieco dalej wznosi się obszerny gmach banku „of Britisch Vest Africa".

Niezwykłym w Lagos jest fakt, że istnieją tam tylko pieniądze srebrne; złota i papierowych pieniędzy niema wcale w obiegu. Kto chce mieć banknot pięciofuntowy, musi zapłacić za to 2 i pół szylinga i gdyby chciał banknot ten zamienić kilka minut później na srebro, musiałby znów zapłacić tę samą sumę. Że banknot — w dodatku jeszcze angielski, może mieć równocześnie agio i disagio — tego nie pojmie nikt dopóty, dopóki nie był w Lagos.

Bardzo pięknym gmachem na ulicy Marina jest dom towarowy „Compagnie française. Towarzystwo to posiada domy towarowe w całej południowej Nigeryi. Wszyscy prawie Europejczycy, a jest ich około 1000 mieszkają na ulicy Marina i na sąsiednich jej ulicach, szerokich, pięknych, i drzewami ozdobionych .Za dzielnicą europejską leży miasto krajowców, liczące 60—70,000 mieszkańców.

Podług dotychczasowego angielskiego systemu, mają się krajowcy przekształcać pod każdym względem na Anglików; w tym celu zbudowano dużo szkół w których wszystkie przedmioty wykładają się w języku angielskim. Szkoły te jednak nie przyczyniają się wcale do szerzenia oświaty, każdy bowiem „czarny" pragnie się jak najprędzej nauczyć trochę tylko czytania i pisania po angielsku, aby potem sam mógł występować, jako „krzewiciel kultury". Kultura zaś rozpoczyna się zwykle zarozumiałością i brakiem uczciwości. Rzeczywiście wykształconych czarnych bardzo jest mało w Lagos; o wiele więcej



Murzynka postępowa z Lagos.

mamy tam krzykaczy, którzy się dopominają „praw, przynależnych afrykańskiej rasie", którzy szkalują w gazetach ile się zmieści „białych głupców" i którzy na ulicy czarnym kobietom z drogi ustąpić nie myślą. Ulubioną rozrywką tych anglo-murzynów jest odgrywanie dramatów i komedyj, i to w najwyszukańszych kostyumach. Od takich powierzchownych drobnostek rozpoczyna się cywilizacya, a chociaż czarna piękność niema pojęcia ani o tabliczce mnożenia ani nie zna użytku igły, to jednak potrafi doskonale jeździć na kole. Tu i owdzie widać pomiędzy kobietami w Lagos piękne typy czarne w malowniczych strojach, częścią wschodnich, częścią arfykańskich. W strojach afrykańskich widać wpływ islamski. Liczba Mahometan w Lagos jest znaczną, to też wpływ ich uwidocznia się i pod względem handlowym i obywatelskim.

Podróżnik.



Kółko czarnych miłośników sceny w Lagos.

Lutnia biała.)*

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

Choć tak piękna i ozdobna,
Choć złotemi struny świeci,
Przecież smutna i żałobna,
I żałośna pieśń z niej leci.

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

Och! ktokolwiek ją urobił,
Odgadł dolę moją wiernie,
Bo choć kwiatem ją ozdobił,
Lecz nim tylko przykrył ciernie.

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

Dziękiż Tobie za tę lutnię
I za wieszcze z niej proroctwo.
Och! Ten na niej wciąż gra smutnie,
Kto w spuściźnie wziął sieroctwo.

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

Lecz nie tylko sam głos trwogi,
Lecz nadzieja z jej strun bije;
Że kto przejdzie cierń i głogi,
Tego czoło kwiat owije.

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

I wciąż szepce ów głos słodki
W czarnych dumań mych godzinach,
Że i biedny kwiat szarotki
Rośnie tylko na wyżynach!

Na tle czarnem lutnia biała,
Oto dola moja cała!

Władysław Bełza.

Bacz na swe powołanie i spełniaj je do ostatniego tchnienia.

* * *

Człowiek cofający się przed ukłuciem szpilki i w zwykłych warunkach nie pozwalający sobie wyrwać zęba bez środków uśmierzających, znalazłszy się w miejscowości pozbawionej lekarza, znosi amputacyę ręki lub nogi spokojniej niż w domu zniósłby wycięcie nagniotka.

* * *

W życiu zwycięża umysł pełen nadziei, zapału i pogody; optymizm jest budowniczym, cieszącym się powodzeniem — natomiast pesymizm jest mordercą powodzenia.

*) W r. 1887 Władysław Bełza nadesłał powyższy wiersz do Zakopanego na ręce przyjaciela prof. dra Ludwika Finkla, aby podziękować w ten sposób za lutnię z kwiatu szarotki, ofiarowaną mu wówczas przez wielbicieli z Zakopanego.

Dział kobiecy.

W czem mi do twarzy?

Harmonia barw.

Barwa zielona — zbyt może lekceważona, jako niedobrze od twarzy odbijająca. Zupełnie niesłusznie: W zielonyn kolorze niekorzystnie wyglądają tylko osoby o chorobliwie żółtej cerze. Jeżeli na twarzy ukazuje się choćby najsłabszy rumieniec, wnet go barwa zielona, jako dopełniająca czerwoną, podtrzyma i podkreśli.

Jasno-zielony ton jest bardzo świeży, wiosenny; ton średni, martwy w sukni, wychodzi bardzo pięknie i jest tłem prześlicznem dla płowo-włosych główek; wreszcie głęboka ciemna zieleń obok granatowej barwy jest „najbardziej kolorowym" ciemnym, spokojnym tonem. Bardzo ładne jest zestawienie tych dwóch barw. A czy potrzeba przekonywać, że nic piękniejszego, jak piękny szmaragd w wykwintnej oprawie?

Barwa niebieska, barwa nieba. Nie potrzeba jej zalecać. W batyście, w wełnie, w jedwabiu zawsze prześliczna — dla młodych. O wiele ładniejsza od białej. Proszę tylko zauważyć w ogrodzie, czy na łące dwie panienki: jedna ubrana biało, druga niebiesko. Biała suknia odcina się ostro, męczy oko; niebieska nabiera dziwnie miłego tonu, zlewa się z otoczeniem.

Dystyngowana bezbarwność, jeśli nie jest dystyngowana, czasem krzyczy. Proszę porównać: w czarną albo popielatą suknię wpięta brosza z brylantów lub pereł i brosza z turkusów, otoczonych żółtem, matowem złotem. Pierwsze bije chłodnem bogactwem; drugie daje oku plamę barwną, niesłychanie miłą, a przez to bardzo dystyngowaną. Jeżeli turkusy przez pół zzieleniały, tem lepiej; kamienie niebieskie obok zielonawych tworzą często skalę tonów, o jakiej marzy nieraz napróżno artysta.

Barwa lila, czyli liliowa, jak ją niesłusznie nazywają. Bardziej dyskretna może od niebieskiej, wykwintna, delikatna, ma tę zaletę, że służyć może w każdym wieku. Cieplejsza od niebieskiej, nie razi nawet przy twarzy nieświeżej, a nic ładniejszego, jak siwe włosy, odbijające się od bladego tonu bzowych kiści. Ametysty obok szmaragdów i turkusów są najbarwniejsze z drogich kamieni: prześliczne (jeżeli ton ich intensywny) w zestawieniu z kolorem popielatym, lub blado-zielonym.

Barwa różowa, również młoda, jak niebieska, wesoła i miła wskazaną jest szczególnie dla zbyt bladych osób, na policzki których rzuca łunę delikatnego rumieńca. Różowe korale dobrze wyglądają na tłach ciemnych, szczególniej na granatowym, harmonizują się też dobrze z wszelkiemi jasnemi, byle neutralbiu, muślinie wełnianym lub jedwabnym stroi wytwornie kobiety o delikatnej cerze. Korale różowe, ametysty, szmaragdy, turkusy, jasne szafiry, (ciemne, prawie czarne, choć poszukiwane, nie posiadają najcenniejszej wartości klejnotów — przepychu barwy) — słowem, wszelkie klejnoty na tle takiej tu-



Przedwiośnie.

nemi tonami; z barw określonych dobrze godzą się z bladozieloną, a niekiedy, zależnie od odcienia, i niebieską.

Brunatna barwa bardzo w modzie szczególnie dobrze odbija się od płowych, i rudawo-kasztanowych włosów. Lecz nie wszystkie odcienie jej są ładne.

W jasno orzechowym dobrze jest brunetkom. Szatynka o oświetlającej cerze może wyglądać bardzo pięknie w wieczorowej tualecie z gazy koloru brunatno-złotawego, przybranej klejnotami z topazów lub turkusów.

Popielaty kolor w srebrzystych lub perłowych tonacyach, w suknie, jedwaalety wyglądają bardzo pięknie. Materyały t. zw. angielskie są najczęściej barwy popielatej. Dobrze ją łączyć z bluzkami wełnianemi lub jedwabnemi w łagodnych, ale określonych barwach.

Znając zasady barw uzupełniających się wzajem i jednocześnie kontrastu koloru — zasadę, której wynalazcą jest uczony francuski Chevrel, możemy wejść w dziedzinę koloratury.

Więc łącząc ze sobą kolory, wzajem się uzupełniające, należy doprowadzić dany kolor do najwyższej siły napięcia. Tak naprzykład wiedząc, iż żółto-zielony kolor uzupełnia czerwono-fioletowy,

pomarańczowo-czerwony zaś wymaga zielono-błękitnego, możemy w kombinacyach tych barw gust nasz rozwinąć.

Zdarza się naprzykład, iż dama na widok fioletowej jedwabnej sukni w wystawie sklepowej, zawieszonej obok żółtej, kupuje ją, a w domu materya wydaje jej się jakby spłowiałą, lub zbrukaną.

Co tu działało?... Prawo Chevrel'a.

Prawo to ma szerokie zastosowanie przy wyborze strojów, jak zarazy bowiem należy unikać dysharmonii barw, gdyż czyni ona człowieka śmiesznym i nieestetyczne wprost wrażenie wywiera.

Chevrel o kobiecych kapeluszach mówi co następuje: „Czarny kapelusz z białemi piórami, różowemi lub ponsowemi kwiatami, stosowny jest dla blondynek, nie nadaje się zaś dla brunetek, chociaż nawet pewien sztuczny efekt chwilowo wywołać może. Brunetka do takiego kapelusza powinna dodać kwiatów polnych, albo też piór.

Biały matowy kapelusz odpowiedni jest jedynie dla białych i różowych twarzy, wszystko jedno, czy twarz taką mieć będzie blondynka, czy też brunetka. Kapelusz z gazy, krepy, lub tiulu do każdej twarzy nadaje się.

Blondynki mogą nosić biały kapelusz, przybrany białemi, różowemi lub błękitnemi kwiatami. Brunetki powinny unikać błękitnego koloru a wybierać ponsowy, różowy lub pomarańczowy.

Jasno błękitny kapelusz bardzo przystraja główkę blondynki, można go również przybrać żółtemi, lub pomarańczowemi, ale nigdy różowemi lub fioletowemi kwiatami. Jeżeli więc brunetka zdecyduje się na kupno błękitnego kapelusza, powinna koniecznie uzupełnić jego barwę pomarańczowemi, lub żółtemi kwiatami.

Zielony kapelusz bardzo ozdabia białe lub blado różowe twarzyczki, a uzupełniają go wyśmienicie kwiaty białe, czerwone, lub blado różowe.

Kapelusz z gazy nie powinien dochodzić do samej twarzy; za pośrednika między nim i tą ostatnią mogą służyć włosy, lub obramowanie białe, albo zielone. Obfitość białego kwiecia i liści na różowym kapeluszu sprawia efekt niesłychany.

Kapelusz czerwony, ciemniejszego lub jaśniejszego odcienia, stosuje się jedynie do twarzy bardzo żywej barwy.

Żółtych i pomarańczowych kapeluszy należy unikać. Co się tyczy fioletowego kapelusza, prawie nigdy nie podnosi on piękna twarzy, chyba że będą go od niej oddzielać nietylko włosy, lecz i przystrojenie żółtej i błękitnej barwy."

* * *

Gorset jako środek poprawczy.

W Bostonie istnieje od lat kilku Towarzystwo misyjne, którego miłosierne damy, oprócz składek w gotówce, zaopatrują także w używaną odzież swe nowo-ochrzcone koleżanki na dalekich wyspach. Rozdziałem tych podarunków zajmują się eksponowani tamże misyonarze.

Przed niedawnym czasem zdarzyło się, że do jednej ze skrzyń z ubraniem, przeznaczonem dla wysp Samoa, załączono paryski gorset nieco tylko używany.

Kiedy skrzynia przyszła na miejsce przeznaczenia, misyonarz musiał pośpiesznie wyjechać, tak, iż nie mógł zająć się rozdziałem nadesłanych przedmiotów. Z konieczności więc — ponieważ nieobecność jego trwać miała kilka miesięcy — złożył skrzynię w ręce naczelnika krajowców z poleceniem, by on dokonał rozdziału.

Skrzynię rozpakowano i naczelnik wraz z gronem swych zaufanych oglądał nadesłaną garderobę. Gdy z kolei wyjęto gorset, wszyscy stanęli bezradni, nie wiedząc, co to jest i do czego służy. Naczelnik po namyśle... owinął go koło lewej nogi, ale gdy okazał się niestosownym, odłożył go na bok i całą sprawę przekazał zwołanej specyalnie w tym celu Radzie przybocznej.

Po długich debatach, na których skonstatowano, że skoro przedmiot tego rodzaju istnieje, to musi mieć jakieś przeznaczenie, powstał jeden z najstarszych krajowców, mający starą, nieznośną żonę i oświadczył, że wedle jego zdania przysłano im gorset, jako narzędzie kary. Zdanie jego podzielono i aby odrazu wypróbować go, sprowadzono pośpiesznie żonę wnioskodawcy i mimo oporu założono jej gorset, ściskając co sił. Egzekucyi tej przypatrywała się wieś cała. Naczelnik uznał, że odkryto rzeczywiście przeznaczenie gorsetu, a gdy jeszcze kobieta męczona niewymownie, poczęła wśród płaczu czynić r maite przyrzeczenia poprawy i zmiany na lepsze, poczęto mu przypisywać własności nadprzyrodzone i ostatecznie postanowiono go używać, wobec tak widocznych, a dodatnich rezultatów — jako środka wychowawczego i narzędzia kary dla niezgodnych, złośliwych, nieposłusznych i leniwych kobiet.

Skutek był nadzwyczajny.

Od razu wszystkie kobiety na wyspie poczęły celować w posłuszeństwie, pracowitości, zgodzie i wogóle wszystkich cnotach niewieścich, a sława „cudownej maszyny" rozeszła się wkrótce po sąsiednich wyspach.

Wkrótce wyspa stała się dla mężczyzn rajem na ziemi...

Kto się z czasem nie liczy, ten nic trwałego nie zbuduje.

Aforyzmy o kobiecie.

Zalotne kobiety starają się mieć wielbicieli, skromne — chcą być tylko uwielbiane.

* * *

Ciekawość kobiet bywa silniejszą od ich nerwów.

* * *

Najgorsze mniemanie o kobietach ma ten, kto ma najwięcej szczęścia u kobiet.

* * *

Mężczyzna kocha, kobieta jest tylko zakochana.

* * *

Uroda kobiety często jest zwierciadłem jej duszy, jednak najczęściej jest tylko duszą zwierciadła.

* * *

Probierzem, czy kobieta jest dobrą matką, jest jej stosunek do córki: jeżeli matka nie czuje ani szczypty zazdrości do córki za jej młodość i piękność, jeżeli się z nią indentyfikuje i wielbicielem córki cieszy się jak własnym, wtedy jest prawdziwą matką; kobieta, która jest tylko kobietą, będzie uważać każdego mężczyznę, nawet własnego syna — przedewszystkiem za mężczyznę.

Pogadanka naukowa.

Czy na księżycu znajduje się ukryte życie? — Profesor J. W. Durand, głośny astronom francuski, sądzi, że życie na księżycu istnieje w postaci form niższych gatunków.

Powszechnie utarło się nawet w świecie naukowym zdanie, że księżyc nie posiada żadnej atmosfery a więc i życia. Tymczasem głośny uczony francuski, profesor J. W. Durand utrzymuje, że na księżycu, jeżeli nie na powierzchni, to we wnętrzu, w rozpadlinach, muszą być stworzenia niższego gatunku.

Prof. Durand pisze:

„O księżycu zwykle się mówi, że jest martwym, a jednak ostatnie spostrzeżenia pod naszemi nowemi, silnemi teleskopami każą w twierdzenie takie wątpić.

Potężne wyrzucanie gęstych waporów zauważono unoszące się z olbrzymich kraterów na księżycu. Wydaje się rzeczą bardzo nieprawdopodobną, ażeby



J. Ryszkiewicz. **Porwana przez Tatarów.**

wśród takich dowodów organicznego życia i akcyi chemicznej nie miała istnieć jakaś forma życia zwierzęcego, lub roślinnego.

Silne teleskopy stwierdzają dowodniej niż kiedykolwiek przedtem, że na powierzchni księżyca życia nie ma, ale możliwą jest rzeczą, że życie istnieje wewnątrz księżyca, w czeluściach i rozpadlinach, któremi, w co wierzyć musimy, księżyc jest wypełniony.

Najznamienniejsze dowody akcyi wulkanicznej spostrzeżono w księżycowym kraterze, znanym pod nazwą Taquet. W tydzień po nowiu księżyca krater ten zupełnie znika, a w miejsce jego zjawia się biała plama, która kolejno po kilku dniach jednakże znika i daje miejsce znanemu zjawisku kształtu pierścienia.

Wskutek działalności pewnych zjawisk geologicznych, które wciąż są czynne na pewnych punktach powierzchni księżycowej, wydzielają się opary z wielkich głębin wulkanu Taquet a także z innych kraterów. W ciągu długiej i zimnej nocy naszego satelity, opary te gęstnieją we wnętrzu czeluści, z której wyparowują pod wpływem pierwszych promieni słonecznych, napełniając krater mglistą masą. Wkońcu pod wpływem pierwszych promieni słonecznych krater z oparów opróżnia się zupełnie.

Przypuszczamy, że opary pochodzą z wnętrza i przypadkowych przyczyn, a w takim razie zjawisko z wulkanu Taquet byłoby tylko czasowem; po osiągnięciu największego rozwoju powinien się zmniejszyć, co rzeczywiście się dzieje, jak to wykazują obserwacye profesora Korna.

Te zagadkowe zmiany kraterów księżycowych nie są rzadkie. Badania poczynione niedawno na kraterze Linneuszu przypominają te, o których inni uczeni mówili. W roku 1845 Hevelius widział krater cieniem okryty. W niedługim czasie później Grimaldi przedstawiał krater raz jużto jako krater, to znowu jako białą plamę. Riccioli w r. 1653 i Schroeter w roku 1788 zauważyli krater jako małą, białą plamę. Lehrmann w roku 1843, i Maedler w roku 1837, wykazali go przeciwnie, jako głęboki krater. Schmidt około roku 1843 obliczył, że był on na siedmdziesiąt mil długi a 1,000 stóp głęboki; w blizko ćwierć wieku później, w roku 1866 ten sam uczony na próżno patrzył za kraterem. Zniknął, a w jego miejscu widniała biała plama.

Przez ostatnie czterdzieści lat krater Linneusz był przedmiotem wielu rozpraw. Według W. H. Pickeringa, astronoma z Harvard, biała plama zmniejszyła się pod wpływem słońca, jak gdyby ona była obsadem szronu lub lodu".

Wszystko to wskazuje na obecność życia na księżycu, bo gdzie są pewne, choćby słabe wybuchy wulkaniczne, tam są i gazy oraz związki ich chemiczne, a więc pewien rodzaj życia roślinnego czy zwierzęcego.

Bądź wiecznem pięknem . . .

Bądź wiecznem pięknem, w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i Faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem, lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi:
Bądź im łzą siostry, kiedy nieszczęśliwi—
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili, nadzieją!
A śpiącym trupio, bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania—
Nad śmiercią silniejszą, siłą ukochania—
Bądź piekłem miłości!

Zygmunt Krasiński.

Piąta struna.

Pieśniarzowi Andrzejowi H.

— Daj siostro wszystko wypić. Jedna łyżeczka płynu tego nie uzdrowi mnie, ale wszystka zawartość buteleczki, od razu pochłonięta, zdolna ukrócić męczarnie życia. Daj, siostro, wszystko wypić. —

— Daremnie prosisz, wiesz, że nie dam więcej.

— Daj siostro, bo cię znienawidzę jak życie, świat i ludzi. Bo cóż moje życie warte, sparaliżowany od kołyski nie postąpiłem jeszcze kroku, dokoła siebie wodzę błędnym wzrokiem, nierozwinięte płuca ledwo dychać dadzą ziemskiem powietrzem. Duszę się lat przeszło dwie dziesiątki, a udusić się nie mogę, umrę, zda się, każdej chwili, a żyję wciąż przecie. Tyś siostrą miłosierdzia, więc ulituj się doli mojej, daj lekarstwo wypić, abym usunął się ze świata. Jam nie dla niego. Ale ty, siostro, jesteś bez sumienia, jeżeli patrzeć możesz na beznadziejnie tonącego w cierpieniach.

— Jędruś znów marudzi, a tak prosiłam, aby był spokojny. Przyniosłam śliczną książkę z miasta, niech Jędruś trochę poczyta i myśli rozerwie.

— Czytać nie mogę, wszystkie książki kłamią. Bo gdzież jaśń życia, o której one prawią, gdzie są jutrzenki, południa pożarne, gdzież święci ludzie, gdzie piękność natury — ja nic nie widzę, — wszędzie martwota, męczarnie, mury i głazy. A życie ludzkie podłe, istnienie mozołem, niema jaśni żadnej, jest tylko ból!

— Jeśli ból jest, jest i radość, jeśli noc istnieje, jest i dzień, jeśli słabość gnębi ludzkość, to zbudzi się moc, jeśli chmury wlokły się ponad twojem życiem, to tylko dlatego, że odsłonią jaśń. Taki porządek rzeczy we wszechświecie! Nie mówię już Jędrusiowi o cudach, bo w nie nie wierzysz.

— Cudy — to złudy i majaki! —

— Nie godzien ich jesteś, skoro z nich szydzisz.

— Zaliż nie czekałem dwadzieścia lat cudu, zaliż nie modliłem się o śmierć lub łaskę. A dotąd żyję kosztem niechętnie rzucanej jałmużny. Znam tylko udrękę i ból!

— Kto zna cierpienie, pozna i radość.

— Może mam czekać sennej zjawy?

— Czekaj i ufaj!

— Czekałem lat tyle. Nie mamię się dłużej, gorycz we mnie rośnie, nie powstrzymuje zapędów, niech rośnie prędko i niech mnie zadławi. Niczego więcej nie czekam. Zbrzydły mi białe szpitalne mury, zbrzydło mi krzesło, w którem wiecznie siedzę, zbrzydł widok chorych i twarze lekarzy, samym sobą się brzydzę. Bo kimże ja jestem — nędzarzem, którego wszyscy się wyparli, stoję poza społecznością. Marzyłem ja niegdyś pracą zdobyć sobie prawo obywatelstwa wśród rodaków, chciałem być sławnym! Z wielkości pożądań dzisiaj tylko zgliszcza... pyły... popioły... A któż powróci tyle krwawych łez — tyle zawodów?

— Jest ktoś, który łzy i zawody zlicza, aby za nie płacić.

— Niema! — ty kłamiesz, siostro, bo takiego niema!

— Rozpacz zaprzeczenie rzuca! Hamuj zapęd słów. W imię Tego, o którym wątpisz, ja cię pielęgnuję. Dzielę smutek, cierpienia...

— I łzy mnożysz; jaśni wierzeń poświęceniem nie wskrzeszesz. Umarła we mnie nadzieja i wiara, a miłości nigdy nie było we mnie. Jest jedna rada... Idź, siostro, do apteczki, tam flakony z płynami, tam jest proszków tyle... idź, przynieś nędzarzowi z łaski, z miłosierdzia... to jedyny ratunek...

— To zgubą dla ciebie! przepaścią dla duszy!

— Nie widzę końca katuszy! Męczarnie się wloką jak gruda dni jesienno-zimowych. Znikąd ratunku...

Ukrył twarz w dłoniach i w posępnych myślach zatonął. Czy płakał, niewiadomo. Siostra bez szelestu za drzwiami zniknęła, dążyła do innych chorych. Nieraz za wiele czasu poświęciła Jędrusiowi, ducha jego krzepiąc. Wszelkiemi sposobami starała się przygnębienia i zwątpienia jego rozpraszać, w sercu choć iskrę nadziei wzniecić. Łudziła się, że doprowadziła go do normalnego stanu. Istotnie nieraz uniosła go w dziedzinę światła i błogości, którą jednak długie, bezsenne noce Jędrusiowi zrazu mgłą, potem ciemnią żałobną przesłaniały. I tak znów powracały zwątpienia, samobójcze zamiary i znienawidzenie świata i ludzi.

* * *

Po zachodzie słońca skrada się ku ziemi cisza urocza, godzina przedwieczorna, usposabiająca wrażliwe dusze i czułe serca do lekkich, przejrzystych, nieuchwytnych rojeń. Taka jedna godzina może człowiekowi wrota rajskie otworzyć i ukazać wszechpiękno w blasku i w chwale, odurzyć woniami kwiatów i zmienić go w istotę, poszukującą wyższych celów, czarowniejszych ideałów i wartościowego bytu. W ową chwilę przedmroku w pozachodową łunę w pasma czerwieni się rwącą wpatrzony Jędruś posłyszał zdala płynące tony skrzypiec. Słuchem łowił dźwięki pieśni, oczy zatopił w barwny horyzont, rozmarzeniem bujał zdala od świata w przestworzach podniebnych. Coraz dobitniej brzmiały tony pieśni, coraz wyraźniej rozpoznawał grę skrzypcową, a zapomniawszy o niedoli ziemskiej, odżył pożądaniem piękna, a pieśń na lotnych skrzydłach unosiła go w dal przestrzenną, wypełniała pustkę serca i karmiła duszę. W ekstazie na wpół mistycznej pogrążony ani posłyszał, gdy tony umilkły, on snuł dalej motywy pieśni, rozprzestrzeniał jej wątek w akordy rozległe, rozedrgana dusza w nim śpiewała radosnym hejnałem oczekiwania upragnionej jaśni. W niezwykłem ducha skupieniu czekał tej zjawy promiennej. W okół niego mrok rzucał podłużnemi cieniami, zielone ściany szpitalne mgliły się coraz bardziej w ton popielatej szarzyzny. Lecz Jędruś był poza swem otoczeniem, oczy jego w jaśń wpatarzone, nie widziały cieni. Nie zauważyły dwóch postaci wsuwających się cicho przez drzwi uchylone. Była to siostra miłosierdzia z lekarzem. Wspólnie ułożyli plan ratowania Jędrusia z rozpaczy. Plan był subtelny i szczęśliwy w pomyśle.

Stary lekarz przypomniał sobie dawne ideały młodzieńcze. Ze skrzyni pamiątek dobył skrzypki dawno nie używane i one miały stać się przyczyną odrodzenia Jędrusia. Stara ręka lekarza ujęła smyczek i w takt wspomnień młodości trącała z lekka w struny, które zadrgały cichym, serdecznym akordem, budząc Jędrusia z pogrążenia. A dźwięki wzrastały w melodyę, melodya w pieśń czrowną, a pieśń w treść duszy. Gdy starzec przegrał pieśń marzenia, delikatnem przejściem przesunął melodyę w poważny, nastojowy nokturn. Aby dać przytem paralitykowi możność przekonania się z ciemnego kąta, przystanął obok Jędrusia i grał i grał. Chory spojrzał nań zrazu jak na zjawisko, drgnął nerwowo, brwi zmarszczył gniewnie, jakby nie chciał uroku rzeczywistości przyznać. Stary lekarz przejął się grą własną. Po ponurym nokturnie chciał odtworzyć pieśń radości, lecz smyczek przebiegł przez struny z niemiłym odgłosem i ręka starego opadła bezwładnym ruchem. Zapomniał tonów radości, zapomniał technicznego opanowania strun drżących tęsknotą i żalem a rozbudzenia z nich wesela. Zapomniał... Wiele tragizmu było w tem zapomnieniu. On, niegdyś muzyk-marzyciel dla chleba musiał zostać lekarzem. A teraz, gdy ujął swój wymowny instrument, nie zdołał już zeń zbudzić lśnień radości, potrafił się tylko żalić i łkać przez tony. Świadomość tego stanu ubezwładniła go na chwilę, lecz zaraz potem miał ochotę rzucić skrzypce o mur po-

bielony, rozbić je, by stłumić ten żałosny jęk dźwięczący tak długo. Już uniósł je gniewnie wyżej, by rzucić od siebie, gdy powstrzymała go wyschła ręka Jędrusia ruchem dopraszającym się o instrument. Lekarz oprzytomniał, podał mu go, a sam usunął się w cień i dumał.

Paralityk przytulił skrzypki do siebie, aż struny poczwórnym dźwiękiem przemówiły i choć nigdy dotąd nie grał, wprawnie uchwycił smyczek, i popłynęły tony melodyi nie nazwanej. Po przegraniu przedziwnej pieśni Jędruś był niezwykle ożywionym. Cieszył się pierwszą radością, głęboko przejęty ważnością odkrycia, które mu zdawna upragnioną jaśń ukazało. Odkrył teraz źródło, z którego krynicy mógł siły czerpać. Nieznana dotąd błogość opanowała jego umysł. Stary lekarz opowiadał mu o potędze pieśni, objaśniał go o konstrukcyi instrumentu, o jego strojeniu. Przyrzekł go nawet zaznajomić z znaczeniem i wartością nut. Jednak na jego twierdzenie, że struny miano głosek g-d-a-e noszą, wybuchnął gniewnie:

— Ależ, doktorze, dziś pierwszy raz grałem a wyczułem przecie, że pierwsza struną tkliwości, druga zadumy, trzecia tęsknoty, a czwarta żalu i łez wyrazem jest. Piątek brak jeszcze przy tym instrumencie, struny natchnienia! To ja ją przyłączę, że posłyszycie grę chyba o wschodzie słońca zasłyszaną, gdy bory szumem liści modlitwę poranną szepcą. Tak świeżą i górną będzie pieśń moja. Uwartościowię ją jeszcze, bo pośredniczką będzie pomiędzy niebem a ziemią. Z ziemi uniesie żale, trwogi i męki ludzkie, a na świat zstępować będzie z niebiańskiem pocieszeniem.

* * *

Rzecz niezwykła budzi zwykle ogólne zajęcie. Zainteresowanie spotęgowało się niepomiernie, gdy przez gazety i afisze naznaczony dzień koncertu nieznanego skrzypka, artysty-samouka nadszedł. Nikomu nie był ów Jędruś paralityk ze szpitala św. Łazarza znanym, który instrument od niepamiętnych czasów niezmieniany przekształcał na pięciostrunny. Właśnie ta piąta struna zaciekawiła wszystkich. Muzycy i skrzypkowie wróżyli zupełnie niepowodzenie niefortunnemu temu pomysłowi, oczekiwali bowiem ryzykownego rozłożenia różnych, znanych kompozycyj skrzypkowych na pięć strun. Ale dzisiejszemu koncertantowi nie o to chodziło. Nie miał zamiaru iść utartym szlakiem i czyjeś utwory interpretować, on chciał tylko zagrać pieśń własnej duszy!

Wieczorem natłoczona sala wrzała gwarem zebranej publiczności. Ciekawość wszystkich przywiodła. Strojne damy z arystokracyi w towarzystwie panów, powagi sfer muzycznych, krytycy, inteligencya, księża, mieszczaństwo i nawet osobniki z proletaryatu, wszyscy wyświeżeni tworzyli barwny tłum. Młodzież zalega przejścia pomiędzy krzesłami. Tu i owdzie pytają się o programy, ale ich niema. Zegar bije ósmą, czas koncert rozpocząć. Jędruś czekając za kotarą, słyszy uderzenie godziny i gwar rozmów tłumu; wie, że czas rozpocząć, ale trwoga oddech mu zapiera, serce bije gwałtownie, w głowie się mąci, chętnie uciekłby sam nie wiedząc dokąd. A publiczność czeka. Aranżer koncertu nagli do występu. Jędruś zły na niego, że go zmusza, lecz uprzytomnia sobie, że on sam pragnął pieśnią innych wzruszać i że niegdyś marzył o sławie...

— Hej, trza wytoczyć fotel, trza grać kiedy się chciało i ten tłum poruszyć chłopskiej duszy natchnieniem.

Natychmiast wytoczono fotel z młodym paralitykiem na estradę. Szmer ubolewania czy litości przeszedł przez salę, tysiąc ócz patrzało ciekawie. Wychudła, blada twarz koncertanta pod pociskami tych spojrzeń zbielała, ręce drżące ledwo dzierżyły instrument. Jędrusiowi zdawało się, że ostry sąd go czeka, sąd i kara za śmiałość wydarcia się murom szpitalnym, za wtargnięcie w świat żywych i zdrowych. Ale po chwili myśl błoga go ogarnia. Hejże! nareszcie może się wyśpiewać do woli, tyle ma temu tłumowi do powiedzenia, tyle żalów i nadziej obwieścić i o swem istnieniu głosić. Hej, jakże tu nie grać, kiedy tak świetna sposobność się nadarza! I nie namyśla się dłużej, już pierwszemi tonami zapowiada wartość pieśni. Zaperliła się ona kaskadą dźwięków, popłynęła z szumem wartkiego potoku w mrowisko zasłuchanych ludzi. Porwała ich tą przyrodzoną chłopską mocą, rytmem mazura i obertasa z niehamowanym rozpędem. Hej, weseliła się dusza Jędrusia, moc w nim budziło tonów władztwo, tej mocy udzielał zebranym, więcej nawet, on ich niewolił, przykuwał ich uwagę do swej pieśni. Hej, miłą była wszystkim owa swawola i rozkoszne rozhukanie, nie było nikogo, ktoby się opierał. Jednak gdy pieśń rzewnem przejściem skłoniła się ku poważniejszemu nastrojowi, niejeden umysł z pod władzy tonów umknął, niejedno płytkie serce nadal swawoliło, niejedna dusza wróciła do obojętności lub egoizmu. A Jędruś miał tyle smutnych opowieści w zapasie, tyle zadumy, tęsknoty, żalu i łez, że zanosiło się na długi a rzewny ustęp w jego pieśni-poemacie. Popłynęły tony serdecznej skargi, zawiedzionych nadziej, troski, bolów, mąk, rozpaczy, całe życie w szpitalu, jęki chorych i bluźnierstwa dusz wątpiących.

Jędruś wiódł liczną zasłuchaną gromadę w ów jej nieznany świat nędzy ludzkiej, określony melodyą. Długo tłomaczył tonami środowisko cierpień, a skrzypki łkały boleśnie. Wreszcie zabrzmiały tonami tryumfu i zwycięstwa. Niby różana jaśń wschodzącej jutrzenki mieniły się giętkie motywy, potężna pieśń niby kolęda zwiastowaniem szczęsnej przyszłości się zakończyła.

Cisza zaległa salę, dopiero po dłuższej chwili jak wezbrana fala zerwały się gromkie oklaski jako wyraz podzięki. Jędrusiowi oczy pałały, chciał wstać, ukłonić się, zapomniał o bezwładności nóg, o swem cielesnem kalectwie. Po wspaniałym tryumfie duchowej władzy odczuł głęboko swe upośledzenie. Lecz oczy pałały nadal dumą, bo mocen był przez pieśń, przez strunę natchnienia. To śnione niegdyś bogactwo hojnie opłacało niemoc ciała. Jędruś był szczęśliwym. Zrozumiał, że dopiero po szeregu cierpień chwila uniesienia zaświeci promiennie blaskiem chwały i pełnią piękna. Nie żałował już ciężkiego życia gotów na nowe męczarnie, aby znów módz podobnego szczęścia oczekiwać. Już dziś święcił dzień wielki, bo wzruszył rzewnym, serdecznym śpiewem swej duszy tylu słuchaczy. Nagle upadły mu u stóp kwiaty. Ktoś z pośród tłumu musiał je rzucić. Chciał podnieść, nie mógł, dobra ręka podała mu je. Ten dowód uznania przechodził jego marzenia, łzy mu się w oczach zakręciły, a pierwszą swą wonną nagrodę ucałował gorąco.

* * *

Jędruś wystąpił kilkakrotnie; chętnie słuchano gry genialnego samouka. Aranżer koncertów projektował nawet podróż, której Jędruś podjąć się wahał, ale wkońcu zgodził się na nią. Wiedział, że podróż dla paralityka jest bardzo uciążliwą, lecz trudno mu było odmówić sobie poznania innych miast i okolic. Uśmiechały się doń w marzeniach łąki zielone, rozległe łany zboża, te pola nasze. Wreszcie nieprzeparta chęć ujrzenia ludu, tego chłopstwa rodzimego, z którego wyszedł, kazała podjąć się trudów. Hej, marzył Jędruś, jak na łące kwiecistej siądzie, jak zagra niebu i światu podziękę za piękno życia. Hej, śpieszno mu w te swojskie obszary z murów szpitalnych. Już śnią mu się po nocach krzyże przydrożne, chałupy, ziemia zorana, ku której rwie się całą chłopską istotą. Tylko doczekać wiosny, która niedaleko. Wyjedzie; przez lato na wsi pozostanie a jesienią i zimą w salach grywać będzie. Hej, ale trzeba mu się jeszcze uczyć, wszak wszyscy panowie krytycy piszą, że brak mu szkoły. Hej, będą go słowiki uczyły, szum lasu, szmer strumyka. Nauczy się, to i piękniej zagra a piątej struny nie odrzuci, choćby

krytycy tego się domagali, bo w tej źródło jego natchnienia!

* * *

Wielu, wielu skrzypków jak Jędruś broni tej piątej struny, z tą tylko różnicą, że ją niewidzialnie przyłączają, a przed brutalstwem ludzi tę strunę natchnięnia chowają w głębi duszy. Jędruś i oni, to niebios zesłańcy.

Jula M.

Łazarzem jesteś, o Ludzkości!...

Łazarzem jesteś, o Ludzkości!
Łazarzem mrącym z ran!
Ciało odpada Ci od kości,
Nad tobą, karząc nieprawości,
Rękę ociążył Pan.

Ażaliś nowych bolów chciwa
I nowych szukasz mąk?
Rozkaz ci niemoc śle straszliwa,
Sam instynkt nawet ciebie wzywa,
Byś miecz puściła z rąk.

Tobie potrzeba ukojenia,
Błękitu z poza krat,
Pieśni, co życie opromienia,
Modlitwy mocnej, która zmienia
Stosu zarzewie — w kwiat!...

Wiktor Gomulicki.

Pośpiech sądowy.

Rzecz dzieje się w Galicyi.

(Humoreska).

Sąd karny, na którego barkach spoczywało zadanie osądzenia w ciągu kilku godzin siedmiu kradzieży i jedenastu ciężkich uszkodzeń ciała, zasiadł za zielonem suknem, a przewodniczący kazał przywołać pierwszego oskarżonego w osobie Jadwigi Jagody.

Woźny wprowadził babinę, ustawił ją przed trybunałem, a przewodniczący odczytał z aktów:

— Jesteś Jadwiga Jagoda, lat 27, rodem z Woli, niezamężna, wyrobnica, niekarana.

Proszę też prześwietnego... — ozwała się oskarżona.

— Nie proś, tylko słuchaj. Prokurator oskarża cię o to, żeś zabrała Wojciechowi Łukaszykowi z jego posiadania bez jego zezwolenia korale wartości 25 reńskich dla własnej korzyści, albowiem świadkowie fakt kradzieży potwierdzili, zaczem oskarżenie jest uzasadnione.

— Proszę wielmożnego trybularza...

— Lepiej się przyznaj, to sąd przyjmie ci to za okoliczność łagodzącą.

— Proszę też pana prokuratora, to nie ja!

— No, kiedy się wypierasz, to świadkowie wyjaśnią. Siadaj sobie tam na ławce. Paweł! zawołajcie świadków: Jana Kukułkę, a potem Wojciecha Łukaszyka.

Ponieważ trybunał miał do osądzenia siedm kradzieży i jedenaście ciężkich uszkodzeń ciała, więc dla szybkości sam przewodniczący dobył zapałek z kieszeni i zaświecił świecę koło krucyfiksu. Woźny wprowadził świadków. Przewodniczący przypomniał im zwykłą formułą świętość przysięgi i zaprzysiągł.

Świadkowie jeden po drugim zeznali, że widzieli, jak Jagoda brała korale ze skrzyni, prokurator oświadczył, iż przy oskarżeniu obstaje, jeden z sędziów mruknął:

„Septem menses!" (siedm miesięcy), drugi dodał: „cum voto!" (zgadzam się), trzeci kiwnął głową, a przewodniczący ogłosił wyrok, zasądzający Jadwigę Jagodę na siedm miesięcy więzienia i zapytał:

— Od tego wyroku przysługuje ci zażalenie nieważności lub odwołanie. Przyjmujesz wyrok, czy będziesz apelować?

— Proszę też wielmożnego sędziego i całą kancelaryę...

— Nie proś, tylko gadaj, czy wyrok przyjmujesz?

— Ale proszę jasnego sądu, niech mię wysłuchają! Ja...

— Więc nie przyjmujesz wyroku?

— Kiej ja nie wiem, panie trybunale, bo ja się nazywam Brygida Pogoda i jestem tu na świadka z Majchrem...

— Paweł! ty ośle dardanelski! — krzyknął przewodniczący, trzasnąwszy o stół aktami — zawołaj tu Jadwigę Jagodę; bodaj go! pół godziny stracone, a tu siedm kradzieży i jedenaście ciężkich uszkodzeń ciała!

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 6-go kwietnia 1361 pierwsze założenie Akademii krakowskiej. — 1551 śmierć Barbary Radziwiłłówny. — 1617 wyprawa Władysława IV. na Moskwę. — 1831 powstanie Niemenczyna i Syrwint. — 1846 usamowolnienie chłopów w Galicyi. — 1849 legion polski w bitwie pod Isaszeg.

Dnia 7-go kwietnia 1278 śmierć Bolesława Pobożnego. — 1578 miasto Ryga przysięga na wierność. — 1656 pobicie Szwedów pod Wartką. — 1849 Pius IX. papież poświęca chorągiew legionów polskich.

Dnia 8-go kwietnia 1390 Jadwiga na czele wojska w wyprawie na Węgry. — 1525 Albert, mistrz krzyżacki, przyjmuje wiarę Lutra i jako książę lenne zaprzysięga poddaństwo. — 1764 konferencya wileńska.

Dnia 9-go kwietnia 1241 klęska Polaków pod Lignicą. — 1570 sejm w Sandomierzu uchwala wolność wyznań. — 1606 Zjazd w Stężycy rokoszan Zebrzydowskiego. — 1793 oświadczenie drugiego rozbioru Polski. — 1831 Dwernicki wkracza na Wołyń.

Dnia 10-go kwietnia 1585 traktat handlowy z Danią. — 1598 przymierze z Austryakami. — 1831 świetne zwycięstwo pod Iganiami. — 1849 legion polski zdobywa Waców.

Dnia 11-go kwietnia 1553 śmierć Piotra Kmity. — 1764 tajemny traktat Moskwy z Prusami. — 1790 list przyjacielski Fryderyka II. do Stanisława Poniatowskiego. — 1831 powstanie powiatu zawilejskiego. — 1848 układy jarosławieckie.

Dnia 12-go kwietnia 1069 urodzenie królewicza Mieczysława, syna Bolesława Śmiałego. — 1467 Malborg kupiony od Krzyżaków.

Humor i satyra.



Szmul: Czy ten Fajnbube porządny człowiek?
Moryc: On nie może bicz bardzo porządny, bo on jeszcze ani razu nie zbankrutował.

Fraszki.

W elektryczności epoce
(Wie o tem starzec i dziecię),
Już nic nikogo nie wzrusza,
Bo wszystko — fraszka na świecie.

Żona małżonka rujnuje
Na stroje i fatałaszki,
Lecz któż się temu dziś dziwi?
I po co? Wszak to są — fraszki!

Ze światem walczył artysta
O mur rozbiła się czaszka...
A kuglarz zbiera wawrzyny...
I cóż wielkiego?! To — fraszka!

Najechał pociąg na pociąg...
Nie stało Tomka i Błażka!
Dwóch tylko? Jest o czem mówić!
Dwóch tylko! To istna fraszka!

Kochał, lecz z jego uczucia
Czynił ktoś sobie igraszki,
I dziś ma życie złamane...
Wielka historya! To — fraszki!

Fraszka, i fraszka, i fraszka!
Dziś ludzi nic nie porusza!
Więc cóż jest prawdą na świecie,
Gdy fraszką — serce i dusza?

* * *

Słusznie.

— Dlaczego boginię sprawiedliwości przedstawiają zawsze z zawiązanemi oczyma?

— Żeby się nie potrzebowała wstydzić za swoich przedstawicieli.

* * *

W domu najlepiej.

Pewien włóczęga, który z powodu zbyt „długich palców" więcej czasu przesiedział pod kluczem, jak na wolności, krótko po odsiedzeniu ostatniej kary został znów schwytany na gorącym uczynku, osądzony i przetransportowany do więzienia. Z dyrektorem, przed którym musiał stanąć, taką stoczył rozmowę:

Dyrektor: Co! To już znowu was tu widzę? A toście doprawdy niepoprawni!

Włóczęga: Proszę pana dyrektora, kiedy mnie było jakoś tęskno. Boć wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

* * *

Pyszna dziewka.

Popatrzcie się, kawalerzy:
Zośka ubrana od święta,
Idzie jak paw nadęta;
Jaka pycha w jej odzieży!

Tuzin spódnic opasała,
Ze zębami, koronkami
Wstążeczkami, falbankami,
Ile tylko w skrzyni miała.

Cały tuzin tych spódnicy,
Na twardo jest krochmalony,
Szumi na niej roztoczony,
Jak las podczas nawałnicy.

Patrzcie, z jaką pychą kroczy!
Trzewiki skrzyp, skrzyp, skrzypią,
Od pierścionków skry się sypią,
Woń pomady od warkoczy...

Dziewka wcale z niej nie licha,
Znalazłaby kawalera,
Żeby nie ta jej maniera:
Stroje nad stan, wielka pycha!



Kumoszka: Moja kumosiu! trudno z moim wytrzymać; codzień nad ranem wraca pijany do domu.

Druga: Z moim gorzej, bo go przynoszą.

Łamigłówka.

Nadesłał czytelnik „Pracy„ p. Stanisław Rychlicki z Krotoszyna.

```
          +
        . + .
      . . + . .
    . . . + . . .
  . . . . + . . . .
. . . . . + . . . . .
  . . . . + . . . .
    . . . + . . .
      . . + . .
        . + .
          +
```

Zamiast kropek i krzyżyków wstawić tak wyrazy, żeby głoski w miescu krzyżyków, czytane z góry na dół, dały nazwisko męża zasłużonego około rozwoju Spółek pożyczkowych.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. spółgłoska, 2. bożek pasterzy u Greków, 3. dowódzca turecki, 4. miejscowość, pamiętna zwycięstwem Greków nad Persami, 5. imię żeńskie, 6. nazwisko z łamigłówki, 7. Król grecki, 8. rzemeślnik, 9. poeta norwegski, 10. rodzaj łyżew, 11. głoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 10-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie rebusa z nr. 12-go:
Wiele potrzeba charakteru, aby zcierpieć niezasłużoną obelgę.

Trafne rozwiązania nadesłały do dnia 27-go marca włącznie następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Henia Otocka, Marya Dymalska, Wanda Malinowska.

Z PROWINCYI: pp. Waleryan Reichowicz z Wielichowa, Jadwiga Zaremba z Wrześni, Helena Żmidzińska ze Skalmierzyc, Suczka ze Szembborowa w powiecie wrzesińskim, Konstancya Kołańczyk z Kowalewa, w powiecie pleszewskim.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Janina Tomaszewska z Torunia, Jan Wachowski z Nowego Miasta nad Drwęcą, Ludwik Rządkowski, malarz-artysta z Przechowa w powiecie świeckim.

Z GALICYI: pp. Ludwik Tatkowski z Łąki, Franciszka Krasińska z Mszany Dolnej.

ZE ŚLĄSKA AUSTRYACKIEGO: p. Stefania Malinowska z Jabłonkowa.

Nagrodę otrzymali. pp. Marya Dymalska z Poznania, Jadwiga Zaremba z Wrześni, Jan Wachowski z Nowego Miasta nad Drwęcą i Franciszka Krasińska z Mszany Dolnej w Galicyi.

Nasz kącik.

Odpowiedzi i pogadanka.

(Ciąg dalszy).

Najserdeczniej dziękuję za znaczki pocztowe: Stokrotce z Chełmży, Fiołkowi z Babina, Felusiowi Jarantowskiemu i jego przyjacielowi z Grodziska, oraz za kartki z życzeniami świątecznemi: Pierwiosnkowi i Bogience z Katowic, Hance z nad Warty, Trójce z Osiecznej, Lilijce z Berlina, Orlikowi z pod Ostrowa, Słowikowi z Pleszewa i Marysiowi Woźnemu z Kostrzyna. Marynia W. Gleszczonek. Bardzo się cieszę, że już został postanowiony twój wyjazd do Orłowej. Lepiej, iż przez lato zostaniesz jeszcze w domu i sił do nauki nabierzesz. Stokrotka. Chełmża. Twój liścik sprawił mi wielką radość i na równi z twymi Rodzicami i z tobą, cieszę się twoją promocyą. O fotografię proszę! Marysia i Feluś Jarantowscy. Grodzisk. Mile powitałam nowych przyjaciół, zbierajcie nadal znaczki i piszcie liściki, tylko ty, Felku nie nazywaj mnie „Wielmożną," bo ja pragnę być dla was „Kochaną!" Czarny Rycerz i Biały Orzeł. Inowrocław. Z jakąż radością przeczytałam w liścikach upragnioną wiadomość! Znakomicie uczycie się, i mam nadzieję, iż z tak zdolnych, jak wy chłopców, kraj doczeka się pociechy. Życzę wam w nowej klasie powodzenia i za zrobioną obietnicę odwiedzenia, serdecznie dziękuję. I ja boleję z powodu odwołanego zjazdu, lecz z dwojga złego, trzeba mniejsze wybrać. O podobizny proszę, pod wszystkiemi będą podpisane tylko pseudonimy. Sokół z nad Czarnej Wody. I twojej promocyi byłam pewną, tem nie mniej bardzo mnie twe dobre świadectwo ucieszyło, a jeszcze więcej, iż zostajesz jeszcze w rodzinnem gnieździe. Ucz że się nadal pilnie a Tatusiowi przypomnij obietnicę zrobienia twej fotografii. Fiołek. Babin. Cieszę się bardzo, iż pojąłeś myśl moją i piszesz, że wolałbyś na rodzinnej ziemi być choćby tylko ostem, niż najpiękniejszym kwiatem na obczyźnie... Dobrze mój mały, lecz ja wolę jeszcze, abyś wyrósł jak bujny kłos, swem ziarnem — pracą użyźniający polską glebę. Co do fotografii będzie tak, jak Mamusia sobie życzy, lecz potrwa to dość długo, gdyż pierwszeństwo należy się starszym. Staś, Maryś i Kazik Ochenduszkowie. Lisko. O, moje słodkie Skowronki,dowód waszej pamięci: Wspaniały tort zamówiony przez was w cukierni p. Pfitznera, rozczulił mnie, ale i zawstydził zarazem. Czemże ja na to zasłużyłam i jak się mogę odwdzięczyć? Z całego serca dziękuję za ten wyborny dar, ale wstyd mi doprawdy! — Czy przypominacie sobie dzieci zeszłotygodniową pogadankę? Mówiliśmy o rozpoczętym nowym roku szkolnym, współtowarzyszach i o przyjaźni. U kogo jej szukać? Czy koniecznie tylko, u tego chłopca, którego rodzice są majętni, lub u tej strojnej dziewczynki? O, nie, bo i dzieci rodziców skromnie uposażonych, gorące mają serca i szczerą przyjaźń ocenić umieją. W Anglii wśród dzieci szkolnych powstało już dość dawno „Stowarzyszenie Miłosierdzia." Jest ono oparte tylko na słownem zobowiązaniu, nie ma żadnych piśmiennych ustaw, a cel tegoż — niesienie pomocy uboższym, mniej zdolnym, lub nieszczęśliwym współtowarzyszom. Nie chodzi tu o dawanie pieniędzy, o nie, lecz o wzięcie w moralną opiekę słabszych, niezdolnych, o pomoc w nauce, wyjaśnienie zadania, rozweselenie smutnego, o słowo pociechy, pogodzenie zwaśnionych, czasem o podzielenie się drugiem śniadaniem z tym, który go nie ma. Jednem słowem dobre, angielskie dzieci, zobowiązują się między sobą i przyrzekają sobie wzajem, wyrzec się raczej własnej przyjemności, byle nieść pomoc i ulgę potrzebującym tego współuczniom. Polska moja gromadko, wszakże i twoje serca biją gorąco i pragną dobra, prawda? Więc z nowym rokiem szkolnym może i wśród was dzieci, wraz z nową wiosną zakwitnie: „Przyjaźń i Współczucie", gdyż my nazywamy to stowarzyszenie: „Związek serc współczujących".

Jakże to ongi za naszych pradziadów przyjaźń ceniono... Toż nieraz



Jaskółka z niewoli.

Od dwóch lat stale pisuje do „Kącika" i wypełnia wszystkie jego prośby: Odgaduje „Zagadki historyczne", uszyła na gwiazdkę koszulkę dla biednego dziecka, należała do składki dla Weteranów i zbiera znaczki pocztowe na budowę przytułku dla sierot bułgarskich.

zdarzało się, iż dwaj młodzieńcy wzywając Boga na świadka, ślubowali sobie wzajem uczucie świętej przyjaźni na całe życie, na dolę i niedolę. Nieraz jeden z przyjaciół własną piersią zastawił drugiego, lub mieniem swem dźwigał go z upadku. Tak ongi pojmowano przyjaźń; niechże i w waszych niewystudzonych sercach ona zagości, niesie radość, otuchę i pokrzepienie. Jeszcze słówko i prośba do was dzieci, spełnijcie ją! Czytaliście już nieraz i słyszeli o młodziutkich pacholętach, które za oręż chwytały, by stanąć w obronie zagrożonej Ojczyzny. Serca wasze biły dla nich gorąco, prawda? A kiedyż ojczyzna nieszczęśliwszą była, jak teraz? Nigdy! Więc dziś i wy, tak dziewczątka jak i chłopcy, wszyscy razem powinniście jako szlachetne owe rycerzyki, stanąć na straży jedynego, najmilszego skarbu — czystości mowy naszej! Zły zwyczaj wkradł się między was, zwłaszcza panuje on wśród chłopców. Ledwie to od ziemi odrośnie i do szkoły chodzić zacznie, już się puszy, dorosłego chce udawać, a, ażeby dorównać dużym kolegom naśladuje ich pilnie, używa słów niezrozumiałych, mowę naszą przeplata obcemi wyrazami, polskie słowa przekręca, dorabiając niemieckie końcówki, jednem słowem nasza śliczna mowa w ustach niektórych uczni brzmi dziwnie, jak jakaś mieszanina, bigos, groch z kapustą. Czyż to nie wstyd, że sami zachwaszczamy tak naszą mowę i pozbawiamy się ostatniego, najdroższego skarbu, spuścizny dziadów naszych? Moje najdroższe dzieci „kącikowe," do was udaję się z gorącą prośbą: Stańcie na straży mowy naszej! Nie tylko sami macie wystrzegać się takiej bezmyślnej, papuziej paplaniny, lecz innych kolegów i koleżanki poprawiać i wpływać na nich, by się dźwignęli z brzydkiego nałogu! Czy mi to obiecujecie? Zdaje mi się, że nie zawiodę się na was! Więc z nowym rokiem szkolnym, do dzieła! Nauki i obowiązków macie dużo, — lecz wasza przyjaciółka będzie prosić Boga, abyście wszystkim podołali. Z Bogiem, pociechy moje! **P. W.**

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy).

Czas wlókł się dziwnie wolno. Mijały tygodnie i miesiące, a jedynym jaśniejszym promykiem były dla Ani listy z dalekiego Sybiru. Mamusia donosiła, że tatuś i Stefek mimo ciężkiej pracy, mrozów i niewygód, dosyć są zdrowi. Ania każdy list całowała, oblewała łzami i ciągle w kieszonce nosiła. Dziewczynka przywykła w domu do całej i porządnej odzieży, z przerażeniem spostrzegła, że sukienki jej i fartuszki drą się i niszczą z każdym dniem więcej, a prosić o sprawienie nowych nie śmiała. Uprosiła więc Ania służącą o nici i igły i siadłszy gdzieś na uboczu, próbowała zaszywać i cerować dziury. Nieraz Lucia i Kocia widząc to, wyśmiewały się: O, Ania gałganiarka ceruje swoje gałganki. Kiedy ty wrócisz do swojego domu? Ania zawstydzona chowała robotę, szepcąc cicho: Ja nie wiem! Skoro rodziców i Stefka Moskale na wolność wypuszczą, to i ja stąd wyjadę. A tymczasem ku utrapieniu Ani, oni coraz częściej dwór w Sadach nawiedzali. Z szumem i hałasem zajeżdżali i wkrótce w całym domu rozlegał się dźwięk ich ostróg i głośna, obca mowa. Goszczono ich i przyjmowano, nie jak wrogów, lecz jak gdyby miłych gości. W główce Ani pomieścić to się nie mogło; miała żal do tych, którzy wrogów tak gościnnie przyjmują i uciekała jak mogła. Jeżeli przyjechali przed obiadem, lub wieczerzą, chroniła się na swoją kanapkę w sali, i tłómacząc się bólem głowy, dziękowała za wszelki posiłek. Burek w zupełności podzielał uczucia swej małej pani i choć słyszał z daleka szczęk noży i łakomie ślinkę łykał, nigdy by nie pobiegł, wziąć z wrogiej ręki choćby kąsek najlepszy. Raz jednak zdarzyło się, iż kiedy w południe siedzieli wszyscy przy obiedzie, przed dom zajechały sanki i po chwili wszedł do pokoju pułkownik z młodym swym adjutantem. Wszyscy powstali, by witać przybyłych, a Ania drżąc cała pobladła. Nie uszło to uwagi pułkownika, po chwili zapytał: Mnie się zdawało, że państwo macie tylko dwie córeczki, a tu widzę trzecią dziewczynkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

55)

(Ciąg dalszy.)

Wielki bór napełnił się hałasem, który zdala przypominał łowy na grubego zwierza. Brakło jedynie psów gończych grania. Wystrzały po wystrzałach postępowały tak szybko, że las rozbrzmiewał jednym nieprzerwanym akordem grzmotów. Ustępujący Rosyanie krzyczeli tylko: „*Hospody pomiłuj!*" Kurpie darli się w niebogłosy:

— Zgiń, psia-ziaro, kiej w naszygo Pana Boga nie zierzysz!... Zidzisz bestyją, jak ogonem wyzijo!....

Czasem jeden zakrzyknął:

Najświętsza Maryjo,
Świedy nas zabziją.

Drugi podchwycił głos i dalej ciągnął:

Retuj nas w tej bziedzie,
Staw kurpsiów na przedzie!

Trzeci kończył raźniej i z tryumfem:

Kurpsie się nie dają —
Świedy uciekają!

Bór w setnych echach krzyki powtarzał i mnożył bez końca.

Coraz mocniej brzmiały głosy polskie, coraz słabiej rosyjskie. Wreszcie ostatnie zupełnie ucichły.

Las był oczyszczony; „ąpołczeńje" zupełnie rozbite.

Wojska wystąpiły na szeroki gościniec, który wiódł ze Smoleńska do Moskwy. Był to trakt stary, częściowo już opuszczony; główna droga do Moskwy biegła bardziej na północ przez Wałujewo i Borodino. Na tę ostatnią Napoleon miał głównie wzrok obrócony.

Książę, nie zsiadając z konia, zapalił krótką fajeczkę. Inni generałowie poszli za przykładem wodza. Wojsku pozwolono posilić się naprędce, bez składania broni w kozły.

Zwycięstwo było prędkie i łatwe. W sercu doświadczonego żołnierza i człowieka, jakim był książę, zbudziło niepokój. Wszystkie nagłe i zbyt powabne uśmiechy losu gasną równie szybko, jak zabłysły.

Książę rozejrzał się w położeniu. Za sobą miał wieś Uticę, rozciągającą się w miejscu wyniosłem, z jednej strony osłonioną lasem, z drugiej bronioną przez grzązkie mokradła. W tej wsi przebywać mógł nieprzyjaciel, tem groźniejszy że ukryty.

Przed księciem ciągnął się długi, z obu stron zadrzewiony gościniec — również z pozoru pusty i również taić mogący zasadzkę.

Książę rozesłał w różne strony piesze i konne patrole na wywiady.

Wieści, które mu dostarczono, zwiastowały gorącą rozprawę. Wzdłuż gościńca i na samym gościńcu stały w pogotowiu wojennem liczne oddziały grenadyerów, strzelców pieszych i strzelców konnych. Cały korpus generała Tuczkowa skupił się tu, aby bronić starej drogi do Moskwy.

Siły Rosyan były przeważające; religijny i fanatyczny nastrój już się niejednokrotnie w tym dniu ujawnił. Wszystko zapowiadało walkę ciężką, z wynikiem niepewnym, może groźnym...

Książę Józef nigdy dawniej nie zaprzątał sobie głowy myślą o niebezpieczeństwie. Uważał je wprost za niemożliwe, nieistniejące. Ale od początku tej kampanii, nie odstępowała go myśl o śmierci.

Kilkakrotnie już, w ogniu walk gorących, budziło go, nakształt bolesnego ukłócia w serce, pytanie:

— Może to już bije ostatnia moja godzina?...

I teraz, rozejrzawszy się w położeniu, owo pytanie sobie zadał. Do pytania dodał jeszcze uwagę:

— Tak, niezawodnie ostatnia.

Przez głowę przeleciały mu wichrem myśli i obrazy. Ujrzał swego synka, panią Czosnowską, Napoleona, panią de Vauban, siostrę Tyszkiewiczową, siostrzenicę Anetkę, towarzyszów broni, pałac pod Blachą, Warszawę, Kraków, Polskę całą....

Na chwilę pociemniało mu w oczach.

Ale natychmiast odnalazł samego siebie. Wymownie ręką machnął i mruknął pod wąsem.

— Ba!...

Zaraz też głowę hardo podniósł, na strzemionach się wspiął — głosem donośnym wydawać zaczął rozkazy.

Wiedział dzielny książę, że ma przed sobą siły potężne — nie zgadł, że one przewyższają jeszcze najgorszą z cyfr przypuszczalnych.

Na lewem skrzydle rosyjskiem rządził mężny i zapalczywy Bagration. Rwał się on w bój z półdzikim prawie zapałem, pożądał zwycięstwa za wszelką cenę; cofać się, lub broń składać, nigdyby nie rozkazał — dopókiby rozkazywać potrafił.

Stary gościniec Moskiewski pokrywał korpus Tuczkowa. Strogonow z grenadyerami i Konowicyn wiedli w ogień dwie składające go dywizye. Korpus Gorczakowa, z generałami: Woroncowem i Newerowskim, obsadził boki gościńca. W zaroślach kryli się strzelcy księcia Szachowskoja, tworząc łącznik między środkiem armii, a lewem jej skrzydłem. Hrabia Sievers wiódł korpus jazdy. Rezerwę tworzyli: grenadyerzy księcia Meklemburskiego i kirasyerzy Dukana. Dowodził tym korpusem Borozdim. Dalej, pomiędzy wsią Siemianowskoje i wielką redutą, stał ze swym korpusem, gotowym do działania na dwa fronty, Rajewskij. Tu w liczbie generałów znajdował się Paskiewicz.

Wrogów miał książę nie tylko przed sobą i po bokach. Miał ich także za sobą. Silny oddział, wcześniej przez Tuczkowa wyprawiony, zajmował leżącą przy gościńcu wieś Uticze.

Książę nie czekał zaczepki; sam natrzeć postanowił.

— Bracia Mazury — dziarsko zakrzyknął, rozglądając się po swojej piechocie — pokażta, co umieta! Nie taki straszny Moskal, jak go malują! (C. d. n.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

15

(Ciąg dalszy.)

— Nie wiem, czy pani chce tu sama pozostać — co do mnie, robota skończona. Może pani wychodząc, włoży klucz pod słomiankę.

— Tak jest, jeśli opuszczę dom przed ich przybyciem, uczynię to z pewnością. Ale myślę, że pani Wachner za chwilę wróci napewno.

— Gdyby państwo przyszli niedługo, to może pani raczy powiedzieć, że domagała się koniecznie wpuszczenia do domu. Zakazano mi wyraźnie wpuszczać kogokolwiek, jeśli nie ma pani Wachner w domu.

Kobieta mówiła prędko, z oczyma utkwionemi w Sylwię.

Sylwia zrozumiała nareszcie — wyjęła sakiewkę i dała posługaczce dwufrankówkę.

— Naturalnie — rzekła wyniośle — powiem pani Wachner, że życzyłam sobie wejść do domu.

Maniery kobiety zmieniły się w jednej chwili, położyła parasol na stole i zapytała w grzeczniejszym tonie: — Czy miała pani wiadomość od tej polskiej damy?

— Nie — rzekła Sylwia zdumiona — nie mam żadnych, ale z pewnością niedługo nadejdą.

Dziwiła się, że pani Wachner mówiła o tem do tej niesympatycznej osoby.

— Ta pani wstępowała tutaj, pewno jadąc na dworzec, była w bardzo dobrym humorze.

— O nie, mylicie się — rzekła Sylwia prędko. — Pani Wolska wcale tutaj nie wstępowała, napróżno oczekiwano ją z kolacyą i herbatą.

—Była z pewnością, proszę pani, zapomniałam cukru przynieść i wstąpiłam tutaj po południu i zastałam ją, była tu jeszcze wtenczas, gdy odchodziłam do domu.

— Zapewniam was, że to nie mogło być w tym dniu, w którym pani Wolska opuściła Lacville. Było to w sobotę wieczorem. Powtarzam wam jeszcze raz, pani Wachner napróżno oczekiwała ją na kolacyę.

Służąca patrzyła na nią z dziwnym wyrazem, ale Sylwia przybrała ton niedostępny, wyniosły. Nie życzyła sobie dalszej rozmowy z tą pospolitą kobietą.

— Bezwątpienia pani wie najlepiej, a ja się mylę — rzekła ta z urazą — wzięła parasol ze stołu i z hałasem zamknęła drzwi.

Chwilę później Sylwia znalazła się sama w „Namiocie konwalii" i obejrzała się dookoła siebie. Każda rzecz, jak to już poprzednio zauważyła, była ordynarna i tania. Dzisiaj wyjątkowo jadalny pokój był czysty i miał dosyć przyjemny wygląd.

Oto stał przed nią ten sam okrągły stół, przy którym wtedy z Anną tak dobrze się bawiły, a w rogu ten sam brzydki bufet, upstrzony wtenczas kwiatami.

Sylwia wstała powoli z trzcinowego krzesła. Jakieś nieokreślone uczucie strachu owładnęło nią. Zdawało jej się, że nie jest sama w pokoju. Patrzyła bacznie na podłogę myśląc, że może jakie robactwo z drzewa pełza u stóp.

Ale nie. Nic oprócz tego stołu i sześciu równo ustawionych krzeseł. A jednakże uczucie, że coś jeszcze niewypowiedzianego znajduje się w pokoju, owładnęło nią na dobre.

Otworzyła drzwi i weszła do małego saloniku. Tu także zapuszczone rolety napełniały pokój dziwną szarością zapadającego mroku. Ale Sylwii oczy przyzwyczajone do otoczenia, rozróżniały każdą rzecz dokładnie.

W saloniku nic się nie zmieniło. To samo prawie ubogie umeblowanie — żadnej ozdoby, żadnego kwiatka ani książki. Ohydny zegar na kominku i tanie lichtarze.

I znów dziwiła się Sylwia niewygodnemu życiu Wachnerów bez żadnego komfortu, z usługą posługaczki, przychodzącej niekiedy.

Zostawiona sobie sama Sylwia poczęła uczuwać dziwne znużenie w tym pustym domu, jednakże zdawało się jej głupstwem odchodzić teraz, kiedy państwo Wachner musieli nadejść każdej chwili.

Jednakże Sylwii zdenerwowanie spotęgowało się jeszcze — może ostatecznie na próżno oczekuje — państwo Wachner mogą dopiero o 7-mej wrócić, jeżeli wstąpili do kasyna.

Najlepiej będzie zostawić karteczkę, zapraszającą do willi du Lac. Hrabia miał być w Paryżu, nie będzie go więc irytować widok osób, których niecjerpiał. Pani Wachner ucieszy się także, wszakże posługaczka nie nakryła nawet do kolacyi swemu państwu!

Sylwia obejrzała się z uwagą ,ale nigdzie nie mogła odkryć skrawka papieru. Przeszła wszystkie pokoje, nawet małą kuchnię i nareszcie w pokoju sypialnym znalazła szukane przedmioty.

Tuż przy oknie stał stół z papierami. Szukając bibuły, wpadły Sylwii w ręce małe książeczki pana Wachnera ze zapiskami, gdzie prawdopodobnie notował systemy gry w karty.

Sylwia wzięła je powoli do ręki i teraz uczuła zupełnie wyraźnie, że jakaś nieokreślona istota musi koło niej się znajdować, która jakby Annie Wolskiej pokrewną była.

Było to niezwykłe wrażenie — tembardziej, że Sylwia wiedziała, że jest napewno sama we willi i, że Anna daleko się znajduje od Lacville.

Szczęściem uczucie to nie trwało długo. Sylwia znalazła nareszcie to, co jej tak żywo uprzytomniało obecność Anny.

Między otwartemi kartkami książeczki pana Wachnera znajdował się list z Anny podpisem. Była to krótka odpowiedź, napisana po francusku na zaproszenie pani Wachner — było to tem dziwniej, że pani Wachner nigdy nie wspomniała o tem.

Obok karteczki znajdowały się próby Anny pisma, które widocznie pan Wachner zrobił dla zabicia czasu.

Sylwia wydarła z książeczki kartkę papieru i napisała na niej kilka słów. Wzruszyła ją myśl, że pani Wachner zachowała ist ostatni Anny.

Kiedy opuszczała „Namiot konwalii" było jeszcze strasznie gorąco na dworze, po raz pierwszy nie była zachwycona

w Lacville. Otworzyła białą parasolkę i postanowiła wejść na chwilkę do lasu, leżącego tuż za willą. Było tam rozkosznie chłodno i Sylwia dziwiła się, dlaczego państwo Wachner nigdy nie piją tam herbaty. Ale może to tylko właścicielom było wolno.

Było jasne, że prędzej czy później lasek wytną i pobudują tu nowe wille wobec wielkiego napływu gości do Lacville.

Silwia szła wolno wązką ścieżką wśród białych brzóz, która prowadziła przez środek. Czując się zmęczoną, chciała spocząć na chwilkę. Zauważyła ze zdziwieniem, że w jednem miejscu ziemia była jakby naruszona, jakby kto świeżo kopał, a potem przykrył gałęziami i liśćmi.

Nawet tutaj, gdzie słońce nie dochodziło, trawa była przez gorąco wysuszona ogromnie. Spojrzała uważnie, lecz nie było obawy, aby mogła zabrudzić jasną suknię letnią.

I siedzącej w lasku naraz zdawać się poczęło, że tuż przy niej tam, gdzie ziemia była poruszona, musiał też ktoś kopać. Pewno dzieci bawiły się tu niedawno i dlatego tak dziwnie wyglądało w tem miejscu.

Sylwia zamyśliła się. Pewno teraz Bill Chester jedzie do Francyi — w kilku godzinach będzie w Paryżu, a na obiad przyjedzie pewno do Lacville. Nie mogła dla niego pokoju uzyskać we willi du Lac, tylko w pensyonacie Malfait, właśnie pokój zajmowany dotąd przez Annę, bo wszystkie inne były zajęte.

Przeczucie mówiło jej, że Bill Chester i hrabia nie będą sympatyzować z sobą.

A potem zwróciła się myślą do swego dzieciństwa, do tego domu, w którym najpiękniejsze chwile spędziła, przypomniał jej się wyraźnie obraz w jadalni, pędzla sławnego malarza, przedstawiający „Żonę Gracza". Nie lubiła tego patetycznego malowidła. Gracze byli tacy sami jak wszyscy inni ludzie, a często lepsi.

Nakoniec powstała i skierowała się wolno ku miastu. Po drodze wstąpiła do willi Malfait. Tu przywitała ją właścicielka radośnie.

— Wie pani, nareszcie wiadomość od pani Wolskiej. Otrzymałam depeszę, że rzeczy mają być wysłane na dworzec północny.

Sylwia ucieszyła się bardzo. Więc Anna była jednak w Paryżu cały czas. Jakże dziwnie, jak nieładnie ani słowem się nie odezwać.

Właścicielka przygotowała bardzo pięknie pokój pani Wolskiej dla tego pana z Anglii i cieszyła się, że pani Bailey poleciła jej nowego gościa.

ROZDZIAŁ XIX.

William Chester, stary kawaler, zamożny obywatel miasta Market Dalling, czuł się bardzo zdziwiony, widząc wielkie tłumy, dążące do Lacville.

Nie znając Francyi wyobrażał sobie, że Sylwia zamieszkała gdzie na wsi, niedaleko Paryża — zadziwił się więc bardzo, ile pociągów odchodziło dziennie do Lacville.

Gdy przyjechał na miejsce, krzyknął woźnicy: do willi du Lac

Doróżka w szybkim pędzie przebiegła ulice i zatrzymała się nareszcie przed kamiennemi schodami pensyonatu.

—To nie może być tutaj — rzekł Chester. To wygląda bardziej na dom prywatny.

— Willa du Lac zapytał portyera. — Tak panie — brzmiała odpowiedź.

— Chciałbym się widzieć z panią Bailey. — Zgrabna dziewczyna, siostrzenica pana Polperro, ukazała się na chwilę, ale znikła natychmiast wołając wuja, który nadbiegł niebawem.

— Chciałby pan zobaczyć panią Bailey, ach jaka szkoda. Co dopiero poszła do kasyna, czekała na pana do pół do dziesiątej — ale potem myślała, że się pan zatrzymał w Paryżu.

— Czy pani Bailey nie ma u siebie? spytał Chester przykro zdziwiony.

— Tak panie. Pani Bailey jak zwykle poszła wieczorem do kasyna. Pan niezawodnie wie, że to największa atrakcya Lacville.

Chester uśmiechnął się na tyrady pana Polperro. — Może mi pan wskaże pokój dla mnie przeznaczony — a potem wyjdę, może ją spotkam.

Pan Polperro pełen ukłonów i przeproszeń odpowiedział, że ponieważ wszystkie pokoje ma zajęte, zamówił pokój we willi Malfait.

— Więc pan mówi, że pani Bailey jest w kasynie?

— Tak jest, panie.

Chester nigdy nie myślał, aby w kasynie mogła znajdować się Sylwia tak późnym wieczorem. Ale wszystko, co się tyczy Sylwii, począwszy od miejsca pobytu, było zupełnie inne niż sobie wyobrażał.

Pan Polperro wskazał ręką na kasyno:

— Proszę pozwolić mi towarzyszyć do kasyna. Pani Bailey nie wróci pewno przed dwoma godzinami. Wysłać każę bagaż do pensyonatu Malfait.

Chester zgodził się i niedługo znaleźli się u drzwi kasyna.

— Czy pan się chce też do klubu zapisać? — zapytał pan Polperro — nie radzę zaraz tego uczynić. Pani Bailey i jej przyjaciele należą do klubu i tam napewno ją znajdziemy. Nie potrzebujemy iść do sal gry na dole.

Do sal gry? Sylwia członkiem klubu?

Nie, to było nie do uwierzenia!

— To musi być jakaś omyłka, pani Bailey nie należy chyba do klubu.

Pan Polperro zdziwił się bardzo.

— Tak należy. Tylko zupełnie zwyczajny plebs kontentuje się salami gry. Wykwintni goście zapisują się po czasie do klubu, ale ja pana nie namawiam przecież.

Bez odpowielzi Chester zapłacił kilka franków wstępu za siebie i towarzysza i zaczęli się przeciskać przez tłum.

— Zobaczy pan, pani Bailey jest w klubie.

— To dobrze, idźmy prędzej — rzekł Chester niecierpliwie.

Zdawało mu się, że teraz zrozumiał. Klub było to osobne miejsce w kasynie, zawierające bibliotekę i sale do czytania. Sylwia zrobiła znajomości pewnie w pensyonacie i dlatego tam się zapisała.

W sali baccarata mężczyźni byli w ubraniach wieczorowych, a panie we wytwornych tualetach, przeważnie rozbawione, młode i piękne.

Pan Palperro rzekł szeptem do Chestra:

— Jeśli pan pozwoli, pójdę do domu. Tutaj pan znajdzie panią Bailey.

Chester podał mu uprzejmie rękę, mały człowiek był doprawdy grzeczny i uczynny. Szkoda, że nie było wolnego pokoju w jego hotelu.

Zbliżył się do stołu, gdzie widocznie gra była wysoka. bo wszyscy śledzili przebieg z natężoną uwagą i zachowywali się bardzo cicho i spokojnie.

Nagle Chester drgnął gwałtownie. Ujrzał Sylwię, stał prawie naprzeciw niej. Siedziała prawie tuż przy bankierze. Była widocznie pochłonięta grą, bo na nic innego nie zwracała uwagi.

Małe ręce w białych rękawiczkach złożyła na stole, a przed nią leżało dużo złota i plika banknotów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W płomieniach.

14) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

— Tak, ale to nie wszystko! Nietylko, że odebrano ci tę sprawę, ale nadto — unieważniono twoje przyjęcie do służby. Jesteś bez urzędu.....

— Czemu?

— Z powodu listu, pisanego do dyrektora Dedet, i danego owej młodej dziewczynie. Chciałeś wpłynąć na dyrektora.... Trzeba było lepiej dać rozkaz przezemnie, kochany panie Coquenil!

— Tak, ale chodziło o każdą minutę i obiecywałem sobie dużo korzyści z rozmowy oskarżonego z tą dziewczyną!

— Rozumiem to doskonale. Był to mały błąd formalny, i ja nie zważałbym na taką drobnostkę, ale — — rozkaz wyszedł z góry! Żal mi niezmiernie, że tracę pana!

— Dziękuję, szepnął detektyw. — Pójdę teraz najpierw do szefa i zapytam go, co on o tem myśli.

Pan Simon wychodził właśnie z sali obrad, gdy Coquenil zbliżył się do niego.

— Ach, to pan! — zawołał. — Proszę na chwilę..... — i biorcą jego ramie, stanął z nim w głębokiej framudze okna. — Żałuję bardzo, że.....

— Pan żałuje? — przerwał detektyw, — pan sędzia Ville żałuje także! Ale jeżeli to prawda, to czemu pozwalacie panowie na......

— Cicho, nie tak głośno..... — prosił pan Simon zaniepokojony. — Mój panie kochany, moją winą to nie jest, ja z tem nic nie mam do czynienia.

Coquenil patrzał na niego tak, jak gdyby nie rozumiał słów jego.

— Przecież pan jesteś szefem tajnej policyi! — zawołał.

— Tak, — szepnął pan Simon, — ale rozkaz przyszedł z góry!

— Od samego prefekta policyi?

— Cicho, cicho — w najściślejszem zaufaniu — rozkaz przysłano mi z biura, tak, ale ja myślę, że go on sam nie wydał! Rozkazu tego szukać trzeba jeszcze wyżej...

ROZDZIAŁ XIV.

Coquenil umówił się z Tigolem, że tego dnia wieczorem spotkają się w restauracyi pod „Trzema Mędrcami“, i obydwaj stanęli punktualnie o oznaczonej godzinie. Ojciec Tigol bardzo był smutny i przygnębiony.

— No, panie Andrzeju, — zaczął, — piękne to historye z panem się dzieją! Żeby to dyabli wzięli! Czy oni tam rozum stracili, czy co!

— Nie tak głośno, — uśmiechnął się Coquenil, — teraz wszystko już w porządku! Jak rzeczy stoją — tak musi być dobrze!

— Dobrze! Dziękuję za takie dobrze, jeżeli pana już nie mamy!

— Poczekajcie trochę, a zrozumiecie wszystko! Ach, otóż i pan Pouget, telefonowałem po niego! Dobry wieczór, kochany przyjacielu! Napijemy się czego — czy też zaraz pójdziemy dalej?

— Dziękuję za wszystko, — odrzekł Pouget.

— Więc idźmy!

I rzuciwszy kelnerowi franka, wyszedł pierwszy na ulicę.

Przywoławszy doróżki, pojechali wszyscy trzej do mieszkania Tigola, w którem Coquenil czuł się stosunkowo najbezpieczniejszym. Wiedział on bardzo dobrze, że ktoś śledzi każdy krok jego i chodzi za nim, jak cień.

— Obserwują mnie dniem i nocą, — mówił, siadając jak najdalej od okna, — i to od chwili, w której oddano mi tę sprawę. Strzegą nawet mego domu i mojej starej Melanii i otwierają moje listy!

— Ale kto to robi? — spytał Pouget.

— Gdybym wiedział!

Coquenil przygryzł usta i wyraz niezłomnego postanowienia błysnął w jego oczach. — Ale nie uspokoję się dopóty, dopóki morderca ten chodzi wolny po ulicach Paryża i wyśmiewa się ze mnie! Mam nadzieję, że w końcu przyjdzie jednak na mnie kolej śmiania się.

— Nie możesz pan przecież nic teraz zrobić, — zawołali jego towarzysze.

— Nie? Zobaczymy! Powiadam wam, że odebranie mi urzędu nie stanie mi w niczem na przeszkodzie — przeciwnie — do tem staranniejszej zachęci mnie pracy! Teraz stracono mój ślad. Od jutra mogą cały Paryż przeczesać gęstym grzebieniem, mnie jednak nie znajdą! Zniknę i w ukryciu będę pracował, a gdy dojdę do celu, wtedy jak piorun spadnę na nich!

— Do wykonania tych zamiarów będziesz pan potrzebował dużo pieniędzy, — odezwał się Pouget.

— Mam dosyć chwilowo i wiem, zkąd więcej dostać mogę. Oprócz tego weźmie mój stary towarzysz urlop na kilka tygodni i pomoże mi, nieprawda, ojcze Tigol?

Oczy starego zajaśniały.

— Z panem pójdę i na koniec świata, — rzekł.

— Dziękuję! A gdybym pomocy pana potrzebował, — zwrócił się Coquenil do Pougeta, to uwiadomię cię o tem! Może nagle i przez trochę dziwnych posłów. Spojrzyj pan na ten pierścionek — jest to staroegipski talizman: bronzowy kamień, a na nim wyryte greckie znaki. Poznasz go? I przyjmiesz posłańca, który ci go przyniesie, o jakiej bądź godzinie i ktokolwiek tym posłańcem będzie?

Pouget wziął rękę przyjaciela i uścisnął ją serdecznie.

— Wypełnię sumiennie wszystko to, czego posłaniec odemnie zażąda, chociażby chodziło o połowę królestwa, — rzekł, śmiejąc się, ale oczy jego były wilgotne. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że Coquenil na ciężkie naraża się niebezpieczeństwo.

— Więc teraz dobranoc i do widzenia! — zawołał Coquenil na ciężkie naraża się niebezpieczeństwo.

— Jeszcze chwilę, — przerwał ojciec Tigol, — muszę jeszcze coś nadmienić. Zapomniałeś pan o tem, że gram na flecie.

— Prawda! Wiecie coś nowego?

— Ej — moja „nowość" śpi tu obok, — rozśmiał się stary. — Jest to mały fotograf, ale on — widział — mordercę!

— Co u licha! Gdzie?

Tigol otworzył podwójne oszklone drzwi i wskazał balkon, znajdujący się wzdłuż całego prawie frontu hotelu.

— Tam! — rzekł. — Ale najpierw musisz pan wiedzieć, jaki jest rozkład tego piętra. Poczekaj pan!

I wziąwszy kawałek papieru, narysował pobieżny szkic piętra.

— Patrz pan, — zawołał, dumny na swoje dzieło. — To jest balkon, na który wychodzi sześć pokoi o oszklonych drzwiach. Jesteśmy tu w pokoju trzecim od końca, mój przyjaciel zaś, mały fotograf śpi w pokoju sąsiednim, a więc w czwartym. Jaki on wczoraj był zły, gdy wrócił wieczorem do domu, a ja grałem na flecie! Przez dziesięć minut leżał cicho, ale potem rzucał butami o ścianę i klął, aż strach! Nie byłbym myślał, że fotograf tak kląć umie! W końcu przyszedł sam do mnie — wtedy przeprosiłem go i poczęstowałem piwem, które bardzo lubi, i wtedy stał się miłym i rozmownym i powierzył mi wszystkie swoje troski i kłopoty. Biedny chłopak zakochany jest szalenie w biednej krawczce, która mieszka po drugiej stronie mego pokoju, a więc w drugim z końca. Dziewczyna jest ładna, lecz niestała, i flirtuje z studentem medycyny, mieszkającym w pierwszym pokoju od początku. Chwilkę cierpliwości, teraz przychodzi najważniejsze! Więc fotograf stawał się coraz to więcej zazdrosnym i wmówił w siebie, że jego ukochana i student widują się na balkonie. Przepędził więc kilka ostatnich nocy przy drzwiach balkonowych, lecz nie zauważył nic, coby potwierdzało jego podejrzenie. Że jednak jest uparty i wytrwały, przeto w sobotę stał znowu na straży przy oknie i — wtedy stało się coś...

— W sobotę popełniono morderstwo! — zawołał Pouget.

— Tak jest! Było to kilka minut przed północą — gdy nagle usłyszał ciche i ostrożne stąpania na balkonie, z pokoju studenta wychodzące. Potem ujrzał przechodzącego koło okna mężczyznę — wyszedł więc za nim i szedł aż do drzwi pokoju krawczki, myśląc zaś, że to jest ów student, rzucił się na niego z tyłu, aby go, jak mówił, zbić na kwaśne jabłko. Ale nie obliczył swych sił — napadnięty otrząsnął go, jak muchę, i gdy się obrócił, poznał fotograf, że to wcale student nie był!

— Więc kto — kto? — zawołał Coquenil i Pouget bez tchu nieomal.

— Tego fotograf nie wie! Wie tylko tyle, że człowiek ten pochwycił gardło jego żelaznemi palcami i że go o mało co nie udusił. Na gardle jego widać jeszcze wyraźnie ślady jego palcy. Ale przypomina sobie, że nieznajomy miał jakąś paczkę...

— Trzecią parę butów! — krzyknął Coquenil. — Były to buty?

Tigol potwierdził pytanie skinieniem głowy.

— Tak, — rzekł. — To były buty, zawinięte lekko w papier, który spadł przy pierwszem poruszeniu się nieznajomego. Chciał on je odnieść do pokoju Kildala!

— Więc to jednak prawda! — szepnął Coquenil. — I co dalej?

— Nic! Nieznajomy popchnął jeszcze kilka razy małego fotografa tak, że mu w oczach pociemniało i wrzucił go potem jak piłkę do jego pokoju. Przez cały ten czas ani jednego nie wyrzekł słowa.

— A buty?

— Musiał je z pewnością zabrać z sobą. Fotograf patrzał ukradkiem przez drzwi i widział go wchodzącego do przedostatniego pokoju, który od pewnego czasu jest niezamieszkały. Potem słyszał stąpania po schodach i zatrzaśnięcie ciężkich drzwi od sieni na dole. To już wszystko.

Twarz Coquenila spochmurniała.

— To był morderca, — rzekł, — nie ma o czem wątpić....

I nagle zerwał się, myśl jakaś nasunęła mu się szybko, jak błyskawica...

— Boże! — zawołał, — mogę mieć nowy dowód... mówicie, że na szyi fotografa są jeszcze ślady jego palcy i paznokci?

Tigol wzruszył ramionami.

— Małe zadraśnięcia — nie dosyć duże dla modnego szaleństwa z powiększającem szkłem...

— Małe zadraśnięcia wystarczają mi zupełnie, — odrzekł Coquenil rozdrażniony, — chodzi tylko o to, po jakiej stronie jest ślad wielkiego palca! Morderca jest mańkutem i przy niespodziewanym napadzie użył zapewne swej silniejszej ręki, to jest lewej. W takim razie powinien się znajdować ślad lewego pierwszego palca po lewej stronie gardła, patrz pan tak oto...

I objąwszy lewą ręką gardło Tigola, pokazał, w którem miejscu znajdować się powinien pierwszy palec.

— Tak jest, — zawołał Pouget.

— Idźcie natychmiast po tego młodego człowieka, — zawołał Coquenil, — obudźcie go, powiedzcie mu co chcecie, ale ja muszę go zobaczyć!

Tigol wyszedł, nie bardzo zadowolony z swego poselstwa i wrócił wkrótce w towarzystwie młodego, chudego i zaspanego chłopaka, ubranego w stary, zniszczony szlafrok.

— Otóż jest mój przyjaciel, — rzekł Tigol, posuwając go ku detektywowi.

Coquenil wyjaśnił mu w kilku słowach o co chodzi, poczem młodzieniec posłuszny, przegiął głowę w tył i pozwolił oglądać dokładnie swoją nabrzmiałą jeszcze trochę szyję.

Ślad lewej ręki! — rzekł nareszcie Coquenil, oddychając głęboko. — Patrzcie — tu na lewej stronie szyi, prawie na samej arteryi, widać ślad jednego tylko paznokcia, wszystkie inne po prawej są stronie — można je policzyć, raz dwa, trzy, cztery — o, to jest mały palec — tuż pod krtanią! Dziwnie długim musi być ten mały palec! Przepraszam pana, że schwycę także twoje gardło... Mam przecież bardzo długie palce, ale tak daleko żaden z moich nie sięga!

— Tak, mały palec musi być niezwykle długi — przyznał Pouget.

Coquenil cofnął się teraz żywo i potarł czoło. Kto mu opowiadał niedawno o człowieku, mającym mały palec niezwykle długi?...

— Nellie!

Tak, Nellie znała człowieka, którego mały palec podpadający był długim!

ROZDZIAŁ XV.

Było już po czwartej i jeszcze zupełnie ciemno, gdy Coquenil wyszedł z hotelu des Etnrangers; twarz jego zakrywał naciśnięty na oczy miękki filcowy kapelusz i wysoko podniesiony kołnierz wytartego, starego paletota. W lewej ręce miał bronzową skórzaną torbę. Na ulicach było jeszcze cicho i pusto, pomimo to oglądał się detektyw uważnie na wszystkie strony, czy go kto nie śledzi. Za nim, w odległości stu kroków szedł ojciec Tigol, zważając także na wszystkie kąty i bramy, w których mógł był się ukryć jakiś nieprzyjaciel Coquenila.

Dopiero gdy stanęli na placu Notredame, zatrzymał się detektyw i czekał na swego towarzysza.

— Weźcie torbę i czekajcie na mnie, ale tak, aby was nikt nie widział.

— Dobrze.

Coquenil szedł wolno przez plac i rozmyślał nad wypadkami ostatniej nocy. Miał znów ślad mordercy, nie dowiedział się jednak o nim nic oprócz tego, że miał długi mały palec. W hotelu des Etrangers nie znał go nikt — służba i sam właściciel widzieli tylko tyle, że jakiś pan wynajął przedostatni pokój na cztery tygodnie i że był tam tylko dwa razy — raz w sobotę po południu, zapewne, aby zabrać Kildalowi buty i pistolet i raz w nocy, gdy zamierzał buty odnieść. O powierzchowności jego mówił każdy inaczej — widocznie przebrał się więc albo pierwszym albo drugim razem.

Ale Nellie znała człowieka mającego taki palec, dużo zaś znajomych nie miała. Że jednak nie powiedziałaby mu pewnie nazwiska tego człowieka, nie wiedząc dlaczego ją kto o nie pyta, przeto postanowił Coquenil wybadać najpierw nieznacznie starego kościelnego Bonneta.

Po krótkiej rozmowie z rozespanym stróżem kościoła wprowadzono dedektywa murowanym gankiem do katedry, w której głęboka panowała ciemność. Tylko lampa przed wielkim ołtarzem jaśniała w dali jak czerwona gwiazda. Coquenil stanął — obejrzał się, i zaraz też posłyszał zbliżające się kroki kościelnego, który z latarnią w ręku szedł jak cień. Równocześnie rzucił się Hektor do swego pana i przyciskał swój olbrzymi łeb do nóg jego.

„Kochany, poczciwy pies!" szeptał Coquenil, głaskając czule wiernego towarzysza.

— Ach, pan Andrzej! — zawołał stary Bonnet, świecąc mu latarnią w twarz, — czego pan tu w nocy szuka w kościele?

— Muszę was o coś zapytać! Możemy tu gdzie usiąść?

Kościelny poszedł z nim do małego pokoiku obok skarbca, gdzie mała paliła się lampka.

— Hej,Franciszku, — zawołał, ciągnąc za rękę leżącego tam na tapczanie człowieka, — obudź się! Na ciebie kolej.

Franciszek wstał, przetarł oczy, i mrucząc wyszedł z Hektorem.

— Siadaj pan, — rzekł Bonnet, posuwając mi krzesło, — ja usiądę na tapczanie. Więc o co chodzi?

— Chciałbym pomówić z wami o Hektorze, — zaczął Coquenil. — Nie myślę zabierać wam psa, nie obawiajcie się! Ale najpierw chciałem spytać o dziewczynę, która tu świece sprzedaje. Naturalnie w zaufaniu! Nie wspominajcie o tem nic waszej żonie!

— Ani słowa! Możesz mi wierzyć, panie Andrzeju, — zapewniał stary gorliwie.

— Więc najpierw: kto jest człowiek o długim małym palcu, o którym mi opowiadała? — spytał na pozór obojętnie.

— Ach, to jej kuzyn, pan Gwener, — odpowiedział stary natychmiast.

— Pytam dla tego, bo zajmuję się bardzo nauką o palcach ludzkich i o rękach. Mam cały zbiór odlewów gipsowych. Czy mały palec tego kuzyna jest rzeczywiście taki długi?

— Dziwnie długi — jak gdyby maszyną był wyciągnięty! Pan Gwener jest snycerzem.

— Wiem, ale o to mi nie chodzi. Wiecie, że ta młoda dziewczyna dziwne miewa sny!

— Na miłość Boską, nie mów pan już o tem, — zawołał Bonnet. — Umieraliśmy już nieraz z strachu jak zaczęła opowiadać o swoich snach. Teraz nie wolno już jej o tem mówić!

— Ale to nie ulega wątpliwości, że ona wie o rzeczach, o których właściwie wiedzieć nie powinna! Mam na to dowody, i muszę się koniecznie dowiedzieć, zkąd ona te sny miewa. Opowiedzcie mi wszystko, co o niej wiecie, kto ona jest, skąd pochodzi — słowem wszystko!

Bonnet potrząsnął głową.

Wiemy o niej bardzo nie wiele, — rzekł — i dziwną rzecz — ona zdaje się nie wiedzieć nic o swej przeszłości.

— Może nie chce powiedzieć!

— O nie! Ona jest bardzo szczerą i otwartą. Ale ten kuzyn Gwener, to głupiec skończony! Przyjeżdża on tu co pięć, albo sześć miesięcy z Brukseli, zostaje dwa dni, idzie raz z Nellie na spacer, albo do cukierni, płaci nam pensyę za nią i odjeżdża.

— Czy Nellie go lubi?

— O tak, zdaje mi się! Ale obecność jego zawsze ją bardzo rozdraźnia. Moja żona twierdzi, że kilka dni przed jego przybyciem i kilka dni po jego wyjeździe ma Nellie zawsze te dziwne sny!

— Poczekajcie, muszę się najpierw namyśleć, — rzekł Coquenil i umilkł na chwilę. — Acha, mam już zawołał, — wiem! Czy ten Franciszek mieszka stale u was?

— Nie, stołuje się tylko u nas!

— Myślicie, że chciałby sobie zarobić sto franków? A wy, chcielibyście zarobić pięćset?

— Pięćset? — zawołał kościelny przestraszony.

— Nie obawiajcie się, nie macie popełnić nic złego! Kiedy przyjedzie ten snycerz znowu do Paryża?

— Dziwna rzecz, że właśnie pan o to pyta! Oczekiwaliśmy go właściwie dopiero za sześć tygodni, ale moja żona mówiła mi wczoraj, że przyjedzie już w przyszłą środę.

— W przyszłą środę! — powtórzył Coquenil. — Czy on zawsze donosi o swem przybyciu?

— Zawsze! I zawsze zostaje tylko dwa dni.

— Dobrze! Powiem wam teraz, w jaki sposób możecie zarobić pieniądze. Niech Franciszek prosi na przyszły tydzień o kilka dni urlopu i niech przepędzi środę i czwartek na wsi. Wypocznie sobie trochę na świeżem powietrzu!

— Ale kto ma za niego pracować?

Coquenil uśmiechnął się i rzekł:

— Ja!

— Pan?

— Tak! Zobaczycie, jak dobrze wszystko wykonam i jak mi obiady u pani Bonnet smakować będą! Nikt mnie nie pozna, nawet wy mnie nie poznacie! Zaręczam wam za to.

— Ale moja żona ma bystre oczy, — przestrzegał go kościelny.

— Jeżeli mnie kto z was pozna, to dam zamiast pięćset — tysiąc franków, — rozśmiała się detektyw. Więc macie tu pieniądze — sto franków dla Franciszka, pięćset dla was. Kiedy mogę rozpocząć służbę? Może we wtorek!

— O szóstej! Ale co mam powiedzieć, jeżeli mnie żona, albo Nellie pytać będą.....

— Powiedzcie, że Franciszek zasłabnął, i że przez parę dni będę go zastępował. Jestem Mateusz!

Kościelny składał i rozkładał z przyjemnością nowe banknoty.

— Ale ja nie narażę się na żadne przykrości, panie Andrzeju, nieprawda? — spytał trochę jednak zaniepokojony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)